Nr. 15 (1268). Warszawa, 9 (22) Kwietnia 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ

POLITYKA

Co będzie?

Cesarz Franciszek Józef po trzytygodniowym prawie pobycie w Peszcie powrócił d. 5 b. m. do Wiednia — powrócił z przekonaniem o zupełnem niepowodzeniu zamysłów, z którymi wyjeżdżał. Węgrzy nie chcieli nic zrobić dla jego siwizny, dla lat sędziwych, dla osobiście występującego majestatu; nie zrzekli się, nie ustąpili niczego z programatu, który staje się coraz bardziej narodowym, tak, iż podrywa już liberalnych w samym sejmie, jak ich poderwał na wyborach 26 lutego. Wszystkie próby przejednania dzisiejszej większości, skupionej naokoło Kossutha i ludzi przejętych zasadami historycznych stronnictw 1848 i 1849 r. rozbiły się o wytrwały upór, o przywiązanie do ideału zupełnej udzielności narodowej, wypromieniającego się dzisiaj z głów i serc węgierskich — jeszcze nie wszystkich, ale już znaczną większość myślącego i czującego miąższu narodowego stanowiących. Co im nadaje prawo do jutra, co je wyposaża jakby w fatalizm zwycięztwa,—to właśnie rozkład dwu głównych dziś prądów politycznych: odwracającego się od Austryi i trzymającego się jej, na pojedyncze warstwy narodu. Żywioły demokratyczne, radykalne i socyalistyczne idą przeciwko Wiedniowi, arystokratyczne i szlacheckie z nim; mieszczańskie rozdzielają się pomiędzy oba kierunki, a lud, to tło, podkład i rezonans życia politycznego, coraz bardziej przechodzi na stronę haseł, jak gdyby dla niego właśnie wydanych.

Co będzie? Czy Węgry dopną swego, choćby przez powstanie zbrojne? czy też pozostawią czasowi rozwiązanie, którego im odmawia dziś panujący? Czy zerwą unię realną, w dualizmie tkwiącą, czy też wrazie ustępstwa ze strony przeciwnej zadowolą się tem, co najważniejsze, najpowszechniejsze żądania narodowe zaspokoić zdoła? O zerwaniu unii osobistej sami przywódcy nie marzą. O federacyi takiej, w którejby Węgrzy byli tylko współczynnikiem całości ogarniającej pospołu oba dziś wyodrąbniające się konstytucyami swemi państwa, również nie myślą. Ale zmierzają widocznie do zupełnego zerwania unii realnej, do wyzwolenia swej wojskowości i skarbowości wraz z cłami z pod jarzma Przedlitawii. Chcą unii doskonale osobistej, przy własnem wojsku, własnym skarbie, własnym i tylko własnym budżecie dochodów i wydatków, wreszcie chcą własnych granic i taryf celnych. Na sprawy zagraniczne pragną mieć wpływ przez swoich ludzi, posyłanych na poselstwa i pracujących w Wiedniu; a w zakresie stosunków na zewnątrz domagają się dla swego handlu osłony i pomocy we własnych konsulatach. Odrębność wojskowa ustawałaby w osobie najwyższego wodza, którym byłby wspólny monarcha; i podobnież odrębność w polityce zagranicznej wyłączałaby właśnie sama ta wspólność panującego; bo jak król węgierski nie mógłby walczyć z cesarzem austryackim, tak znowu cesarz austryacki nie mógłby prowadzić innej polityki, niż król węgierski. Jedność taką w obu działach życia narzuciłaby sama istota unii osobistej. Równoważnikiem zaś, raczej równowartością, wynagrodzeniem za straty o jakieby przyprawiło dzisiejsze Austro-Węgry zniesienie unii realnej, byłoby przymierze trwałe zaczepno-odporne, również z samego faktu unii osobistej prawo i konieczność swoją wywodzące.

Stopień szczęścia, jakiegoby naród węgierski przy takiem zorganizowaniu swej zależności od dynastyi habsburskiej mógł doścignąć—nie obchodzi wcale polityki. Szczęście jest stanem subjektywnym tak w najdrobniejszych jednostkach, pyłkach bytu, jak w największych zbiorowych ogromach. Dla polityki wagę mają tylko dwie sprawy—pierwsza: czy dana zbiorowość posiada organizacyę zabezpieczającą jej samodzielność, ochraniającą jej życie, urzeczywistniającą jej energję?—druga: czy przez urządzenia swoje wewnętrzne nie osłabia swego stanowiska, jako mocarstwo w systemacie mocarstw, w tej puszczy rykiem pierwotnych potworów ustawicznie wstrząsanej? Węgrzy, ci, do których dziś należy słowo dziejów, w zapamiętałości do celu swego dążąc, mogą wcale nie dbać o to, jak ich państwo, doskonale przy wyżej wskazanych w unii osobistej niezbędnych ograniczeniach, wolne, zupełnie niepodległe, mające tylko króla w Wiedniu, a nie w Peszcie — wyglądać będzie w t. zw. świecie międzynarodowym, to jest w gromadzie innych państw? Ale Przedlitawczycy, którym rozpoczęte już zrywanie unii realnej powinno było zaostrzyć czujność, wzmocnić instynkt zachowawczy, obudzić w egoizmie politycznym poczucie jakiejś grożącej straty, nie mogą na żądze buchające z Pesztu nie patrzeć przedewszystkiem ze stanowiska dbałości o międzynarodową potęgę, i nie zadawać sobie pytania: zali przeistoczenie unii realnej w osobistą nie osłabi Austro-Węgier, bądź jednym, bądź drugim węzłem w jednej całości utrzymywanych, jako mocarstwa, czy nie zmniejszy ich bezpieczeństwa, energii, siły, uroku wreszcie, który jako wiara w siłę sam przez się już siłą być może?

Pytanie to nie jest bynajmniej płonnem,

nawet dla trzecich, dla widzów tragi-komedyi austro-węgierskiej, dla publicystów i teoretyków wcale w grunt Przedlitawii nie wrosłych i umysłowym tylko ulegających pobudkom: a jakiemże dopiero być musi dla samych Przedlitawców! Prosty rozsądek, gdy się tylko rozejrzy po dzisiejszej Europie, po dzisiejszem sąsiedztwie Austro-Węgier, ze zjawisk i czynów dzisiejszych wyłuszczyć sobie może jedną tylko odpowiedź: mocarstwo austro-węgierskie upadnie; jego znaczenie wobec potęg światowładnych zmaleje prawie do zera; nikt na nie oglądać się nie będzie, nikt w nierozerwalność owego przymierza wieczystego nie uwierzy; każdy będzie miał przed sobą dwa państwa różnolite, jedno o 28 mil., drugie o 20 mil. ludności.

Ruch odśrodkowy wzmoże się zarówno na Węgrzech, jak w Przedlitawii. Niemcy czescy i morawscy, albo sięgną znowu po hegemonią, albo nabożniej jeszcze niż teraz modlić się zaczną do Berlina. I w samym Burgu ockną się apetyty niemieckie. Mógłby niebezpieczeństwo zażegnać federalizm, gdyby go nie podcinały już u podstaw waśni narodowe; ale i on nie spotęgowałby ani wiary w siłę, ani samej siły nazewnątrz działać zdolnej. Rozpoczętego przez Węgrów rozkładu Austryi dokonałyby Prusy i Rosya, bez takiego nawet wysiłku, jakiby dziś był potrzebnym. Włochy na jedno skinienie z Berlina sięgnęłyby po włoskie krainy na południu. Serbowie i Czarnogórcy wydarliby Hercegowinę. Węgry zużywałyby siły swe na powstania, na ustawiczne wrzenie narodowe wśród Chorwatów, Rumunów, a po upadku Austryi już sama ich niepodległość wydana byłaby na pastwę zawistnych potęg i zawistniejszych jeszcze losów. Takie byłyby następstwa rozwodu. Zobaczymy co przyniesie adres, którego projekt złożyła już w sejmie właściwie komisya.

St. Krz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Do dnia 14 b. m. włącznie nie było jeszcze rozprawy bojowej na morzu. Doniesienie o bitwie już w dniu 9—11 u wysp Ambanas okazało się czczem. Część znaczniejsza floty adm. Rożestwienskiego z południka Singapore'u popłynęła na północo - wschód, po opłynieniu Malakki skierowała się na północo-zachód, dnia 11 i 12 b. m. zdążała do wybrzeży wschodnich Kochinchiny, następnie trzymając się głównie kierunku północnego, dnia 14 b. m. widzianą była na pełnem morzu o jakie 1200—1300 kil. od Formozy. Do Saigonu zawitał, według depesz francuskich, niepewnych, tylko statek leczniczy „Orjeł“. Depesze wskazują 5 pancerników i 6 krążowników pancernych rosyjskich w eskadrze, płynącej ku morzu Chińskiemu; są przy nich nadto, pomniejsze statki. Część wynajętych przewozowców nie chciała iść dalej na północ. Konsul francuski na południowem pomorzu chińskiem zakupuje statki do węgli i wogóle na potrzeby przewozu. Telegraf z Indochin francuskich z okazałością, obliczoną na doraźne wrażenie donosi, że okręty francuskie strażnicze dla osłonienia neutralności wypłynęły poza wody terytoryalne: jest to domonstracya dla przekonania Japonii o bezstronności.

Niema najmniejszego nawet śladu przebywania okrętów rosyjskich na wodach zundzkich po pierwszem ukazaniu się w d. 9 i 10 b. m., które mogło mieć tylko znaczenie ruchu w straży przedniej i bocznej dla zabezpieczenia floty. To samo wypada powiedzieć o okrętach japońskich. Ta wszakże wysokość, na której stanęła część floty rosyjskiej pod samym Rożestwienskim, nie usuwa możliwości skierowania się, bądź w całości się trzymających, bądź rozdzielonych sił rosyjskich ku Celebes i Filipinom; większe jednak prawdopodobieństwo ma zamiar wytrwania w kierunku północnym, który musiałby wprowadzić flotę w węziznę między Formozą a lądem, w której leżą właśnie wspomniane tu Pescadores. Tam niezawodnie stoją już Japończycy, a zjawią się w całej sile z chwilą ukazania się Rosyan. Rozprawę przewidywano na dzień 18—20, im wcześniej do niej przyjdzie, tem dalej też od Formozy na południe. Jej wynik rozstrzygnie o dalszych kolejach wojny nawet lądowej. Przegrana adm. Rożestwienskiego, jeśli nie skłoni odrazu grupy politycznej, wojennej w Rosyi do pokoju, nakaże jej wytężyć wszystkie siły na walkę lądową, bez oglądania się na następstwa, na granicę sił i środków wewnętrznych, z pewnym, fatalistycznym uporem, jedynie dla postawienia na swojem. Wygrana utrudni Japończykom działania na lądzie, zagrozi ich dostawom, handlowi i wogóle pogorszy dla nich warunki walki.

Gen. Dragomirow przyłączył się do pomienionej grupy. W memoryale, który wkrótce ma już przejść przez biura ministeryalne—zaleca wojnę *quand meme*, wojnę *en tout cas*. Rozumuje tak: przez czas wzmagać się będą na widowni siły bojowe Rosyi w wyższym stopniu, niż Japonii. Z chwilą wprowadzenia dostatecznej liczby wojsk, Rosya z odporności przejdzie w zaczepność, która dopiero pozwoli na rzeczywisty rozwój energii. Japończycy, liczebnie niżsi, strategicznie bierni, będą musieli ustępować, aż znajdą się w tak szczupłych granicach rozpostarcia wojennego, że zawarcie pokoju zaszczytnego dla Rosyi, stanie się dla nich koniecznością. Ze względu na ten pokój zaszczytny, wojnę obecną gen. Dragomirow uważa za narodową i nakazuje ją też narodowi prowadzić choćby trzy, cztery, pięć lat, aż do upragnionego celu. Były przecież wojny siedmio-, trzydziesto-, a nawet stu-letnie: dlaczegóżby Rosya nie miała odważyć się na 5-letnią? Generał, mówiąc o wyższym wykładniku rosyjskim niż japońskim w dowozie wojsk, niezbędnych środków i narzędzi na widownię wojenną, wychodzi z założenia, że siła przewozowa kolei syberyjskiej bez trudności się podwoi; ale wartości tego swego założenia niczem nie udowadnia.

Na lądzie nadzwyczajną powolność ruchów japońskich snadniej wytłomaczyć można przygotowaniami do działań w większym, liaojańskim i mugdeńskim stylu, niż owymi fantastycznymi nieco pochodami do niezmiernie dalekiego Tsi-tsi-karu lub Nin-guty. Japończycy sami donoszą o zajęciu Kirynu przez 13,000 Rosyan, co może być pomyłką, ale co samo przez się już dowodzi, że miejscowość ta nie leży jeszcze w zasięgu strategicznym Ojamy. Obie drogi: z Tsang-tu-fu na północ ku Sungary i z Kain-jenu do Kirynu, zajęte są przez oba wojska w niewielkiej od Tie-lingu odległości. Utarczki straży przednich i tylnych mają znaczenie pomyślnego lub przełamywanego oporu w pochodzie tak jednej jak drugiej strony, ale tylko na liniach zewnętrznych, niedotykających osi środkowej. Większą rozprawę zapisują depesze japońskie pomiędzy powyższemi drogami, pod datą 12 b. m.; ustąpił wtedy z pozycyi cały pułk piechoty i 6 secin kozaków z 4-ma działami. Gen. Liniewicz bez tego rodzaju zwycięstw w buletynach swoich mógłby się doskonale obejść: odniósł bowiem dotychczas tę wielką, niezaprzeczenie wielką korzyść, że zamiast ściganych po pogromie mugdeńskim gromadę rozbitków po całomiesięcznem wytchnieniu i pracy taktycznej, dzięki dowozom materyału żywego i martwego, a głównie dzięki czasowi, ma już teraz armię zdolną do boju. Bezczynność japońska

Knut Hamsun.

W PRERYACH.

Całe lato roku 1887 pracowałem w ogromnej fermie, w dolinie rzeki Czerwonej w Ameryce. Prócz mnie było tam jeszcze dwóch innych Norwegów, jeden Szwed, dziesięciu czy dwunastu Irlandczyków i kilku Amerykanów. Było nas razem dwudziestu ludzi, pracujących w tej małej sekcyi — cząstka tylko setek robotników, zajętych w fermie.

Zielono-żółte rozciągały się preryе, nieskończone, jak morze. Nie widać było domów, prócz naszych własnych stajen i bud do spania; nie rosło tu ani drzewo, ani krzak, nic tylko pszenica i trawa, jak okiem sięgniesz. Nie było tu i kwiatów, tylko gdzie niegdzie w pośród pszenicy widniały żółte kitki dzikiej gorczycy, jedynego kwiatu tych obszarów. Prawo zabrania bytu tej roślinie, wyrywaliśmy ją więc z korzeniami, zawozili do domu i palili.

Ptak nie buja tu w powietrzu, nie widać innego życia prócz falowania pszenicy na wietrze, a jedynym dźwiękiem, któryśmy słyszeli był niemilknący nigdy głos milionów koników polnych — jedyny śpiew w preryach. A wciąż pragnęliśmy choć odrobiny cienia. Gdy przyjechał do nas wóz z obiadem, kładliśmy się na brzuchach pod nim, aby przynajmniej w czasie posiłku zażyć go trochę. Słońce prażyło niekiedy strasznie. Na sobie mieliśmy jedynie kapelusz, koszule, spodnie i buty—nic więcej, ale też mniej nie mogliśmy mieć, bo bylibyśmy się upiekli. Jeżeli czasem przy robocie koszula się rozdarła, słońce paliło przez otwór, tworząc rany na ciele.

Podczas zbioru pszenicy pracowaliśmy do szesnastu godzin. Dziesięć żniwiarek żęło, jedna za drugą dzień w dzień na tem samem polu. Gdy jeden czworobok zżęto, jechaliśmy z maszyną na drugi i kładliśmy go również. I tak dalej, i dalej — dziesięciu ludzi postępowało za maszynami wiążąc snopy. A na koniu, z rewolwerem w kieszeni i okiem na każdym placu siedział dozorca, pilnując nas. Dziennie zamęczał on stale dwa konie. Jeżeli coś się zepsuło, maszyna pękła naprzykład, w jednej chwili zjawiał się dozorca, naprawiał lub kazał odstawić do domu. Często wypadło mu jechać gdzieś daleko od nas, a że nigdzie dróg nie było, musiał więc w kółko kręcić się wśród pszenicy, aż konie ociekały potem.

Kiedy nadszedł wrzesień i październik, panowało jeszcze sztraszne gorąco w dzień, ale noce były już bardzo zimne. Często marzliśmy porządnie. A zwłaszcza snu było nam zawsze zamało; bywało, że budzono nas o trzeciej rano, kiedy jeszcze było ciemno. Nakarmiwszy konie i siebie, jechaliśmy spory kawał drogi na przeznaczone nam do roboty miejsca, a dopiero gdy nastawał dzień, mogliśmy widzieć, co mamy robić. Rozniecaliśmy ogień na stogu pszenicy, aby rozgrzać oliwę, którą smarowaliśmy maszyny; przy tej sposobności sami ogrzewaliśmy się nieco. Ale trwało to zaledwie kilka minut, potem trzeba było siadać na maszynę.

od środka marca może kiedyś wyjaśni się absolutną niemożnością działania, ale na dziś przedstawia się jako wielkiej wagi okoliczność ujemnego dla Japończyków znaczenia.

P. Delcassé zjadł 13 c. m. obiad u niegdyś p. Radolińskiego, dzisiejszego Prinza Radolin: strawił i obiad i pigułkę niemiecką. Zawiązuje układy, a co najlepsza, przenosi je do Berlina na większe jeszcze upokorzenie. Strawność jest na razie i cnotą Izby, jeśli nie jej opozycyi. Jaurès chce coś wnieść, ale mu pewno nie dadzą. Izba uchwaliła już dwa pierwsze zasadnicze artykuły prawa o rozdziale. Sprawa spisku weszła w stadyum badań, prowadzonych przez władzę wojskową na całem terytoryum Francyi. Tym, dla kogo działano, ma być nie ks. Wiktor Napoleon, ale ks. Ludwik, jego brat, w każdym razie jeden z Napoleonidów.

Na programat Fortisa, upaństwowienia kolei, oddowiada kolej nowem wstrzymaniem ruchu na całej sieci dróg włoskich.

Na Krecie wojsko europejskie przypiera powstańców do skał i zmusza do porzucenia oręża. Konsulowie obiecują reformy ekonomiczne, na gorączkę uczuć greckich — plastry z cekinów.

W Macedonii użerają się już jedni z drugimi—ku uciesze wspólnego wroga. Bulgarowie mordują Serbów, Grecy Bulgarów. Turcy ścigają wszystkich.

Sejm węgierski zniósł *lex Daniel* z 18 listopada 1904 roku, uchwalił *pereat* dla Tiszy i Perczela i zabrał się do adresu.

Lansdowne miał dnia 13 b. m. w Izbie lordów mowę o ścisłej jedności poglądów amerykańskich i angielskich na sprawę wojny i pokoju: objaw ważny.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Chaos.—Początki czegoś.—Co się z chaosu wyłania?—Nasze zapatrywanie na pracę i pracowników.—Przełom u nich.—Prasa o strajku powszechnym.—Bojkot tytoniu i napojów wyskokowych.—Rozboje na prowincyi.—Wieści o samorządzie.—Zadanie wobec niego prasy prowincyonalnej.

Chwilę obecną zcharakteryzowano, jako jeden niezmierzony i bezwzględny chaos pojęć i objawów życia społecznego.

Określenie to było dość trafnem—chaos, ogromny, szamotanie się sił potężnych, ujętych w ciasne ramy i gotowych te ramy rozsadzić; chaos pojęć wśród powodzi nowych idej, tak jeszcze niedawnoześrodkowanych w niewielkich kółkach i grupach jednostek wybranych—a dziś obejmujących szerokie masy; chaos życia i jego przejawów—wszystko co nowe, musi mieć ten charakter z początku, nim wybuchnąwszy jasnym, potężnym płomieniem, oświeci kraj cały od piwnic aż do poddaszy i zacznie płonąć równem, skutecznem światłem.

Wśród tego chaosu, prócz tylu plam czarnych, przykrych, niezrozumiałych, wśród drobnych pyłków mgławicowych zwolna wyodrębniają się i zaznaczają formy nowych zjawisk, niedawno tylko śnionych w marzeniach idealistów, dziś już coraz zrozumialszych, stopniowo przybierających formy życia konkretnego. Jednem z zjawisk, coraz widoczniejszem dla wszystkich, jest zdobycie praw obywatelskich i szacunku ogólnego nie platonicznego, przez... pracę ludzką.

Ktoś być może zadziwi się po przeczytaniu powyższego zdania. Jakto? czyżby praca ludzka u nas nie była szanowaną?

Po części, szanowaliśmy pracę ale, że tak powiem, pedagogicznie oraz „w zasadzie", lecz bardzo rzadko braliśmy te nasze zasady na seryo. Pracownik—był dla nas człowiekiem godnym szacunku, lecz ogół pracowników, jako klasę, trudniej mogliśmy sobie wyobrazić. O szarym zaś tłumie roboczym wiedzieliśmy tylko tyle, że to są ludzie, którymi się rządzi, których trzeba trzymać krótko, i którzy z powodu swej ciemnoty przedstawiają materyał podatny dla burzycieli. Bądź co bądź pracownicy inteligentni przeważnie pochodzili „z dworu", robotnicy „z chałup",—o tem zawsze pamiętaliśmy. Aliści przychodzi strajk powszechny a wraz z nim cały szereg strajków miejscowych, fachowych. Ogrom tego objawu nie pozwala go zbagatelizować, zmusza do zwrócenia uwagi na przyczyny, t. j. warunki w jakich ludzie pracują. I oto inżynierowie, budowniczowie, kolejarze występują wprost jako pracownicy, rozprawiają publicznie o warunkach swojej pracy, uciekają się nawet do strajków. Przyczem przekonaliśmy się, że często trzeba robić wielki gwałt o to, żeby szef uznał racyonalność domagania się sądów polubownych z pracownikami, dowiedzieliśmy się, że w wielu razach dopiero drogą strajku podwładni mogli postawić żądanie grzecznego obchodzenia się z nimi, zniesienia „tykania" itd. Jednocześnie wielu pp. pracujących przekonało się o wspólności swych interesów nietyle z „szefymi" i „pryncypałami", z którymi ich łączy ubranie i sfera towarzyska, co z całą tą rzeszą ludzi szarych, poniżonych, maltretowanych a jednak ostro broniących praw dawnych i domagających się nowych.

Poczuli się oni poniekąd pracownikami „na stałe", kiedy dotąd mimowoli uważali się przeważnie za pracowników tylko z musu i czasowych.

A przełom ten znać w całym kraju, znać go i w prasie prowincyonalnej, coraz częściej rozpatrującej kwestyę związaną z losem pracowników zarówno inteligentnych jak ręcznych i maszynowych. Przodują w tem oczywiście pisma łódzkie i „Kuryer Sosnowiecki", większość jednak ignoruje na dziesiątki milionów dającą się obliczyć podwyżkę płacy roboczej po ostatnim strajku, która naszym masom może przynieść nieodgadnione korzyści kulturalne, zapomina o wszystkich zdobyczach moralnych, np. zniesienie wstrętnego rewidowania robotników, i wciąż jeszcze miele na swych szpaltach jeremiady na zgubne dla narodu skutki strajku. Czyż zmniejszenie dywidend rabujących kraj Belgów, Francuzów, Niemców, wreszcie rodzimych polskich i żydowskich fabrykantów na rzecz milionowej ludności robotniczej jest istotnie widmem klęski narodowej?

Z objawów zajęcia się losem warstw pracujących podkreślić należy podany przez „Echa Płockie", fakt rozpoczęcia wywiadów w sprawie warunków pracy i mieszkań szwaczek oraz stróżów płockich przez tamtamtejsze Tow. hygieniczne; żywe również zainteresowanie znajdujemy w „Gazecie Radomskiej", „Tygodniku Piotrkowskim" i „Gazecie Kaliskiej" z powodu szerzącego się wśród warstw robotniczych bojkotu trunków i tytoniu.

A ruch ten wart podkreślenia, jako dowód żywotności i potęgi zbiorowej naszej klasy robotniczej. Świadczy on o dążeniu do życia zbiorowego. Tamowanie takich zupełnie naturalnych jego objawów tylko szkodę przynieść mu może; wart on zaznaczenia jeszcze i dla tego, że stopniowo ogarnia też inteligencyę; mówi o tem mnóstwo faktów poszczególnych i zbiorowych oraz artykuły pism warszawskich i prowincyonalnych.

Jednocześnie z tymi sympatycznymi objawami życia na prowincyi, muszę niestety z obowiązku podkreślić i mniej pocieszające. Biorę choćby rozboje. Z okolic Zawiercia, Ząbkowic, Olkusza i Lublina dochodzą nas wieści, wobec których bledną opowieści o Rinaldinich i Kartuszach. Bandy zamaskowanych opryszków najeżdżają domy, plebanie, i dwory, rabują, a po dokonanym rabunku zasiadają do uczty przy dźwiękach fortepianu i śpiewach chóralnych. Mimo-

---

Nie obchodziliśmy żadnych świąt, niedziela była podobną do poniedziałku. Ale podczas słoty nie mieliśmy co robić, wtedy siedzieliśmy w budzie, urządzali sobie „kasyno," rozmawiali, spali.

Znajdował się między nami pewien Irlandczyk, który mnie początkowo bardzo intrygował. Bóg raczy wiedzieć, czem on właściwie był pierwotnie. W słotne dni zawsze leżał, czytając powieści, które skupywał. Był to wysoki, piękny mężczyzna może trzydziesto-sześcioletni, wyrażał się bardzo ładnie. Mówił też i po niemiecku.

Przybył do fermy w jedwabnej koszuli i zawsze pracował w jedwabnych koszulach. Gdy się jedna zdarła, wdziewał drugą. Nie był zwinny w robocie, nie posiadał „talentu, ale jako okaz był ciekawy.

Nazywał się Evans.

W obu Norwegach nie było nic nadzwyczajnego. Jeden z nich uciekł, nie mogąc podołać pracy, drugi wytrwał — bo pochodził z Valdres.

W czasie młocki staraliśmy się o miejsca możliwie najdalsze od maszyny. Pył, trociny, piasek sypały się, jak zamieć śnieżna ze wszystkich jej otworów i łopat. Przez kilka dni znajdowałem się w samym ogniu, potem poprosiłem dozorcę, aby mnie przeniósł gdzieindziej; zgodził się. Dał mi doskonałe miejsce w polu, gdzie miałem być przy ładowaniu wozów. Nie zapomniał okazanej mu przezemnie życzliwości zaraz z początku.

A było to tak:

Miałem bluzę mundurową z błyszczącymi guzikami, która pozostała mi jeszcze z czasów, kiedy byłem konduktorem tramwajowym w Chicago. Ta bluza i te wspaniałe guziki podobały się dozorcy, który był prawdziwem dzieckiem na punkcie stroju; tego tu przecież w preryach nie spotykał nigdzie. Powiedziałem pewnego razu, że mu chętnie dam bluzę; chciał mi za nią zapłacić i pytał, ile żądam, ale ofiarowałem mu ją bezinteresownie, więc oświadczył, że jest mi bardzo wdzięczny. Po skończeniu żniwa dał mi w zamian inną porządną bluzę, spostrzegłszy, że nie mam w czem jechać.

Z tego czasu, kiedy moja robota polegała na ładowaniu pszenicy na wozy, przypominam sobie jedno zdarzenie.

Towarzyszem moim w pracy był Szwed w dużych butach z cholewami na spodniach. Mieliśmy wspólnie ładować. Jemu robota paliła się poprostu w ręku, nie mogłem nadążyć podawać mu snopy. Popędzał mnie wciąż i popędzał, aż mnie to w końcu zaczęło gniewać, więc jąłem robić, co sił starczyło.

(d. n.)

Z norw. przeł. *J. Klemensiewiczówna.*

woli nasuwa się pytanie, co robią sfery najbardziej zainteresowane? czy nie są nawet zdolne przeszkodzić podobnego rodzaju wypadkom? Widocznie minęły już czasy, kiedy postrachem utrzymywało się względny spokój i równowagę.

O samorządzie wiejskim i miejskim słychać coraz częściej. Wiele faktów i oświadczeń urzędowych każe wierzyć w rychłe jego urzeczywistnienie się u nas. To też dla organów prasy prowincyonalnej otwiera się obecnie wspaniałe pole działalności. Powinny one głosić o niedoborach i potrzebach danej miejscowości — powinny otworzyć łamy swoje wszystkim ludziom dobrej woli i obywatelskiej myśli i stać się naprawdę rzecznikami swoich okolic. Do dziś dnia, przeważnie nie z własnej winy, były to nikłe pisemka rachityczne. Dziś lub jutro, będzie im dane przemawiać otwarcie w obronie interesów szerokich kół ludności. Czy potrafią spełnić to zadanie, czy będą umiały wyczerpująco rzecz całą ująć i wyświetlić? Nie wiem. W każdym razie z całego serca życzę im tego.

J. Dąbrowski.

Z za kulis

czarnego świata poznańskiego.

Z szeregu gazet poznańskich ubyła jedna i to obok „Dziennika“ największa — „Kuryer Poznański“. Upadek pisma codziennego po 33-letniem istnieniu jest wypadkiem bądź co bądź w obecnych czasach dość niezwykłym, to też nic dziwnego, że opinia publiczna zaboru pruskiego bardzo się nim interesuje. A zainteresowanie się to tłomaczy się przedewszystkiem politycznymi powodami upadku „Kuryera Poznańskiego“, który był przez większą część swego istnienia organem klerykalizmu. Zniknięcie tego wydawnictwa z widowni życia publicznego nie oznacza bynajmniej, aby wojujący klerykalizm poznański stracił możność oddziaływania na opinię. Klerykalnemi są właściwie wszystkie pisma poznańskie, nie wyłączając ludowych i narodowo-demokratycznych, ale „Kuryer Poznański“ był organem arcybiskupa i wyższego duchowieństwa. I właśnie z ręki arcybiskupa Stablewskiego padł cios, który go uśmiercił.

„Kuryer Poznański“ został założony za czasów „kulturkampfu“, w celu obrony interesów katolicyzmu i polskości, głównie dzięki rodzinie Żółtowskich, którzy dali na to pismo kilkadziesiąt tysięcy marek w formie udziałów. Udziały te z czasem zostały w znacznej ilości podarowane tumowi arcybiskupiemu. Większa część reszty ich stała się też własnością kleru. Czasy, kiedy na stolicy arcybiskupiej siedział Niemiec Dinder, „Kuryer Poznański“ przetrwał szczęśliwie, gdyż Dinder, dbając o interesy kościoła, znajdującego się ciężkiem położeniu, nie mógł mieć za złe „Kuryerowi“, że jest prowadzony w duchu względnie opozycyjnym. Całe duchowieństwo katolickie, bez różnicy narodowości, znajdowało się przez długi czas w opozycyi względem rządu, więc ton „Kuryera Poznańskiego“ nikogo nie raził.

Dopiero po powrocie stolicy arcybiskupiej w ręce Polaka — księdza Floryana Stablewskiego „Kuryerem Poznańskim“ poczęły miotać przeciwności losu. Stablewski objął rządy w dyecezyi gnieźnieńskiej wówczas, kiedy Rzym już się był pogodził z cesarstwem niemieckiem, a skutkiem tego kościół katolicki w Niemczech poszedł na usługi rządu. Jako jeden z „książąt kościoła, Stablewski musiał być posłusznem narzędziem swej wyższej władzy i z kwaśną miną prowadzić politykę ugodową, prusofilską. I oto „Kuryer Poznański“ w ciągu lat przeszło dziesięciu, jako przyboczny organ arcybiskupi, uprawia tę politykę z gorliwością godną lepszej sprawy. W piśmie tem można było czytać, że Polaków przedewszystkiem powinny obchodzić interesy kościoła katolickiego a sprawy narodowe tyle tylko, o ile są tych interesów uzupełnieniem. Z powodu urodzin Wilhelma II „Kuryer Poznański“ zamieścił artykuł entuzyastyczny, tak skrajnego serwilizmu dworskiego, że nawet społeczeństwo poznańskie, dość obyte z takimi wybrykami, poczęło szemrać, a „Przegląd Poznański“, ostro krytykujący odezwanie się „Kuryera“, spotkał się z powszechnem uznaniem. Długo pamiętano Stablewskiemu ten artykuł zaopatrzony w nagłówek: „Przy Tobie, Najjaśniejszy, stoimy i stać chcemy,“ Kiedy Śląsk Górny począł się budzić do życia narodowego i dążyć do moralnej solidarności z resztą ziem polskich zaboru pruskiego, „Kuryer Poznański“ wystąpił z artykułem „Silesia fera da se“, który uroczyście wypierał się wszelkiej wspólności interesów Poznańskiego z interesami Śląska i wypowiadał zdanie, że Śląsk obchodzi tylko Ślązaków. I znowu oburzano się powszechnie na ten wybryk polityki arcybiskupiej, wywołanej względami uległości dla władzy kościelnej w Rzymie, faworyzującej centrum i jego „stan posiadania“ nad Odrą. Kiedy kardynał-hakatysta Kopp wydał słynny list pasterski przeciwko ruchowi polskiemu na Górnym Śląsku, cała prasa polska zawrzała oburzeniem. Jedynym wyjątkiem był „Kuryer Poznański“, który wygłosił hymn pochwalny na cześć Koppa. Tego już było zadużo nawet dla klerykalnego społeczeństwa poznańskiego. Znaczna część duchowieństwa poczęła także sarkać na taką politykę.

Trzeba ją więc na gwałt zmienić, ażeby nie stracić reszty wpływu, i oto „Kuryer Poznański“ przekształca się gruntownie. Nowy redaktor pisma, Franciszek Morawski, prowadzi je wprawdzie w duchu klerykalnym, ale pod względem narodo-politycznym zajmuje stanowisko opozycyjne, wręcz odmienne od tego, jakiemu w ciągu szeregu lat hołdował arcybiskup. Próba usunięcia nowego redaktora zapomocą intryg zakulisowych i zastąpienia go jakiemś ślepem narzędziem polityki Stablewskiego — nie udała się, postanowiono tedy działać energiczniej i zupełnie otwarcie.

Stablewski nakazał drukarni św. Wojciecha wypłacić akcyonaryuszom „Kuryera Poznańskiego“ cały kapitał zakładowy w sumie 30,000 marek i wypowiedzieć pismu gościnę. Przeniosło się tedy do innej drukarni i prowadziło tę samą politykę, występując coraz radykalniej. Ale nie trwało to długo, na najbliższem zebraniu akcyonaryuszów klika, idąca za rozkazami arcybiskupa, usunęła z rady nadzorczej jej prezesa — p. Stanisława Żółtowskiego, podzielającego poglądy radaktora a wkrótce potem i tego ostatniego. Skończył się okres radykalizmu „Kuryera Poznańskiego“, dawny kierunek odżył.

Pokazało się jednak, że obecnie niezmiernie jest trudno prowadzić politykę bezwzględnego serwilizmu prusofilskiego. Z jednej strony hakata nawet księżom tyle sadła zalała za skórę, że nie mogą już oni bez popełnienia otwartej zdrady, godzić się z polityką jawnej solidarności z hakatyzmem. A z drugiej całe społeczeństwo otrzeźwiało na tyle, że frazesy ugodowe nawet bardzo umiarkowanych rażą dotkliwie. To też nowy redaktor „Kuryera Poznańskiego“ — zdawałoby się zupełnie „swój człowiek“, bo ksiądz kanonik Zimmermann, (znany ze skandalu, wywołanego w „Czytelni dla kobiet“)—nie mógł prowadzić pisma w duchu jedynie miłym arcybiskupowi Stablewskiemu. Musiał on zwalczać, wprawdzie oględnie i w wyrazach bardzo umiarkowanych, germanizacyę przez kościół katolicki. Kiedy zkrytykował okólnik kardynała Koppa w sprawie ruchu narodowo-polskiego na Górnym Śląsku, Stablewski zniósł to z bólem serca. Kiedy wystąpił przeciwko wybrykom hakatystycznym kleru górnośląskiego, Stablewski się zżymał, lecz milczał. Ale kiedy wytknął praktyki kleru katolickiego, mające na celu germanizowanie dyecezyan samego księdza Stablewskiego, miarka się przebrała. Ks. Zimmerman musiał nagle zachorować i podać się do dymisyi. Pokazało się przytem, że od czasu opuszczenia redakcyi przez p. Morawskiego „Kuryer“ począł cierpieć niedobory, zużył 30.000 marek kapitału zakładowego i bez subwencyi istnieć nie mógł.

Widząc to wszystko i nie mając nadziei wznowienia dawnego czysto rządowego kierunku, Stablewski postanowił „Kuryer Poznański“ zawiesić. W ten sposób pismo to przestało istnieć.

Upadek „Kuryera Poznańskiego“ wbrew temu, co pisze szczerze czy nie szczerze znaczna część prasy poznańskiej, nie jest żadną stratą dla społeczeństwa polskiego. Żałować tylko należy, że upadek tego pisma nie znamionuje wcale upadku klerykalizmu wogóle, ani wpływów Stablewskiego w szczególności. „Prymas“ nasz ma inne jeszcze sposoby wpływania na bieg wypadków i na opinię. Posiada on w swych rękach cały szereg organów prasy, przeznaczonych dla rozmaitych warstw społeczeństwa polskiego.

Wyżej wzmiankowana drukarnia ś. Wojciecha, stanowiąca własność dyecezyalną i przynosząca dość znaczny dochód, wydaje swym nakładem cztery pisma. Jedno z nich „Ruch Chrześciansko-Społeczny“ jest organem klerykalnym, poświęconym zagadnieniom teoretycznym i praktycznym dzisiejszego ruchu społecznego. Redaktor tego pisma ks. Zimmermann, prowadzi je umiejętnie i ludzie, czerpiący stąd swe wiadomości mogą się przejąć jego zasadami. „Ruch Chrześciańsko-Społeczny“ przeznaczony jest dla warstwy inteligentnej — głównie dla księży, biorących udział w organizowaniu kółek klerykalnych i stowarzyszeń robotniczych. Dopełnieniem „Ruchu Chrześciańsko-Społecznego“ jest „Robotnik“ — „Pismo Związku katolickich towarzystw robotników polskich dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej“, wychodzące od Nowego Roku. Same tytuły już w dostatecznej mierze określają tendencye tego pisma, mającego za zadanie współzawodniczenie nietylko z socyalistyczną „Oświatą“, ale i z „Siłą“ — organem „Polskiego związku narodowego“. Trzeciem pismem, wydawanem nakładem drukarni św. Wojciecha jest „Przyjaciel Ludu“—organ polityczny, szerzący klerykalno-serwilistyczne poglądy Stablewskiego wśród szerokich mas ludu wiejskiego i drobno miejskiego. Pisemko to jest bezwarunkowo jednem z najszkodliwszych wydawnictw w Poznańskiem, gdyż popierane przez księży, dochodzi tam, gdzie wpływy jego niczem nie mogą być neutralizowane.

A już najszkodliwszem wydawnictwem drukarni św. Wojciecha, jest bezwarunkowo „Przewodnik Katolicki“, ogłupiający lud świstek klerykalny, który posiada wprost niesłychaną u nas nigdzie liczbę odbiorców—70.000. Księża dyecezyi poznańskiej i gnieźnieńskiej obowiązani są agitować z ambon za prenumerowaniem tego pisma, a obowiązek ten przypominany im jest dość często drogą specyalnych okólników. Pominąwszy już samą treść „Przewodnika Katolickiego“, szkodliwość tego pisma polega jeszcze i na tem, że dochody jego idą na cele germanizacyi. Tak, albowiem z pieniędzy tych, dodanych do składek, ściąganych od ludu polskiego po kościołach, utrzymywane są konwikty dyecezyalne.

Czemżeż są te konwikty? Celem ich jest danie możności synom rodziców ubogich zostania księżmi. W Poznańskiem, takich konwiktów jest trzy: w Poznaniu, Gnieźnie i Ostrowiu. Regensami wszystkich są księża Niemcy, a w Ostrowiu został niedawno mianowany regensem niejaki Kliche, zaciekły germanizator, którego działalność podczas pełnienia funkcyj nauczycielskich w gimnazyum ostrowskiem wywołała głośne potępienie całej prasy polskiej. Młodzież, znajdująca się w konwiktach składa się przedewszystkiem z Niemców, następnie z synów nauczycieli-germanizatorów i wreszcie z synów chłopów polskich. Duch germanizatorski panuje w konwiktach niepodzielnie i to tak dalece, że np. w konwikcie gnieźnieńskim dwa dni w tygodniu nie wolno rozmawiać po polsku pod karą aresztu. I na takie to instytucye płyną grosze ludu polskiego przez ręce księży-Polaków i arcybiskupa „prymasa"!

Ponieważ wszystkie powyższe pisma wraz z drukarnią św. Wojciecha stanowią własność dyecezyalną, przeto z chwilą, kiedy na czele dyecezyi stanie znowu arcybiskup Niemiec, ale nie w rodzaju Dindera, tylko otwarty hakatysta-germanizator, rząd potrafi bardzo łatwo nakłonić je do swej woli. I być może, że niedaleką jest ta chwila, kiedy z powodu nadwątlonego zdrowia arcybiskupa Stablewskiego (nie wszystkie jego choroby są jedynie symulacyą ze względów politycznych) w dyecezyi poznańsko-gnieźnieńskiej zapanuje system całkiem otwartej germanizacyi. A wówczas wszystkie te „Przewodniki" i t. d. staną się pismami bezwzględnie antipolskiemi ad majorem ecclesiae gloriam...

Pośrednik.

UWAGI
w sprawie wychodźstwa zamorskiego.

(Ciąg dalszy).

Owe „dzielne szeregi", złożone z ambasadorów samozwańczych, nie wydobędą go z tego upośledzenia gdyż nie posiadają potrzebnych do tego kwalifikacyj umysłowych, moralnych i charakteru. Nasze obserwacye, sięgające roku 1903 dały nam to przeświadczenie, że owi ambasadorowie są plagą wychodźstwa: zaznaczyli się oni wystąpieniami warcholskimi, intrygami, pustoszeniem i tak nikłego życia organizacyjnego, wydobywaniem na nowo na jaw rozmaitych szumowin, które już zaczynały usypiać w bezczynności.

Nie znajdując na wychodźstwie zbytu dla tasiemek, motorów, guzików, o które mało dbamy, znaleźliśmy przedwczesny rynek dla haseł politycznych. Od lat dziesięciu ustaliło się tu komiwojażerstwo polityczne, znajdujące łatwy popyt dla wszystkich swych próbek. Bezkrytyczna masa, niemogąca poddać przedstawianego sobie towaru naocznej konfrontacyi z życiem, stanowi „locus minoris resistentia". W takiem środowisku można osiągać tanie tryumfy, powodzenie nie zależy tu bowiem od natury hasła politycznego, lecz głównie od zabiegliwości i zręczności maklerskiej.

Wychodźstwo polskie nie obcując ani pośrednio ani bezpośrednio ze społeczeństwem rodzinnem, nie doznając wspólnych z niem wrażeń i wzruszeń, nie odnajduje w swej organizacyi duchowej żadnej podniety uczuciowej, odpowiadającej danemu hasłu politycznemu. To odbiera polskiemu życiu politycznemu na wychodźstwie cechę szczerości. Patryotyzm musi wypływać ze stosunków i z interesów życiowych człowieka, jeśli ma mieć trwałe podstawy. Taką jest banalna strona polskiego życia politycznego na wychodźstwie. Niejaką różnicę może stanowią dążenia socyalistyczne polskie z tego powodu, że część ich we wszystkich stosunkach znajduje realny dla siebie podkład, a część tylko z lokalnych czerpie swe uzasadnienie specyficzne. Nie brak i szkód z tego eksportowania na oślep haseł politycznych na wychodźstwo. Przeholowanie szowinistycznych dążności przyczyniło się w znacznej mierze do powstania tu litewskiego i rusińskiego seperatyzmu co jest absurdem i tylko bezmyślnem naśladownictwem daje się wytłomaczyć.

Na zakończenie podamy szereg twierdzeń, tyczących się stosunków wychodźczych i mogących zainteresować tych, którzy dla spraw wychodźczych nie są obojętni.

1) Co się tyczy rozproszenia się Polaków, to pominąwszy wychodźstwo do obu Ameryk, wiem od ludzi, służących na okrętach handlowych, że we wszystkich częściach świata i prawie we wszystkich krajach znajduje się większa, lub mniejsza ilość Polaków. Przedewszystkiem mamy ich w zamorskich koloniach angielskich, co stąd wynika, że przybywszy do Anglii w poszukiwaniu chleba, wielu z nich udaje się okrętami międzykolonialnymi tam, gdzie słychać o dobrych zarobkach.

2) Nigdzie to wychodźstwo nie jest ani bogatem, ani oświeconem, nigdzie nie posiada jakiegobądź wpływu politycznego, wszędzie jest ono najuboższem, najciemniejszem najwięcej poniewieranem i, jeśli to kogo pocieszyć może, najwięcej katolicko-klerykalnem.

3) Jest fanfaronadą niedorzeczną i awanturnictwem politycznem zmierzać w warunkach życia społeczeństwa polskiego do wytworzenia zapomocą wychodźstwa gdziekolwiekbądź, czy to w Paranie, czy w Stanach Zjednoczonych kolonij i dzielnic polskich w stylu Ziemi Przylądkowej lub kolonij australskich. Podbudzanie zaś społeczeństwa do wysiłków w tym kierunku nie jest jego wzmacnianiem, lecz drwinami z jego nieświadomości i niemocy.

4) Wartość wychodźstwa polskiego, utrzymywanego w naturalnych granicach, stanowią widoki ucieczki z domu przed głodem i zasilanie kraju niejakimi zasobami pieniężnymi oraz materyałem ludnościowym, który pod wpływem wychowawczym podróży i przebywania w obcych krajach zdobył sobie pewne przymioty.

5) Krajami mogącymi wchłaniać w siebie nadmiar ludności polskiej są Argentyna, Brazylia, w szczupłej już mierze Stany Zjednoczone, Kanada, Południowa Afryka i trochę Australia. Wartość każdego z tych krajów dla wychodźcy polskiego jest bardzo różna. Argentyna dzięki kilkoletnim urodzajom jest w okresie bieżącym wdzięcznym krajem dla dobrego rzemieślnika i zdolnego fachowego robotnika fabrycznego: osadnictwo rolne dostępne jest dla pozbawionych pieniędzy tylko na krańcach, gdzie darmo dają ziemię.

Warunki kolonizacyi rolnej pod względem rodzaju i sposobu uprawy są tu zbliżone do kolonizacyi rolnej w Brazylii, ale należy uważać je za lepsze dlatego, że władze argentyńskie w pewnej mierze spełniają swoje zadania kulturalne i inwestycyjne względem kraju. Urząd zaś kolonizacyjny w Buenos-Ayres pracuje na zdrowych podstawach i z pewną skrupulatnością spełnia swe obowiązki. Niczego podobnego niema w Brazylii.

Brazylia niezdolna wytworzyć swego przemysłu, finansowo zależna od giełdziarzy londyńskich i przez nich rujnowana, żyjąca z wywozu surowych produktów swej przyrody, eksploatowanych rabunkowo przeważnie przez kompanie cudzoziemskie, przedstawia dla wychodźcy polskiego, pozbawionego pieniędzy, jedynie interes osadniczy. Całokształt stosunków brazylijskich utrzymuje znaczną większość osad na poziomie zbliżającym je do stanu nędzy, i o ile przewidywanie oparte na rozumowaniu, doświadczeniu i intuicyi jest miarodajnom, to przyszłość bliższa tych osad jest żadna. Stany Zjednoczone, jako miejsce zbytu pracy, posiadają dziś wartość bardzo zmienną i chwiejną. Tanie sprzedawanie swej pracy przez wychodźcę polskiego, ułatwia mu cokolwiek jej znalezienie, zależy to jednak przedewszystkiem od stanu rynku światowego i owładnięcia nim przez wielki przemysł amerykański, a to znowu od zdobyczy politycznych, dyplomatycznych i ogólnego położenia polityki międzynarodowej. Interes osadniczy w Stanach Zjednoczonych, dla wychodźcy polskiego, pozbawionego pieniędzy, ma znaczenie drugorzędne. Osadnictwo było i dotąd jest przeważnie prowadzone przez kompanie kolejowe i osoby prywatne pod pewnym nadzorem rządu. Osadnictwo takie powoduje się nie względami obywatelskimi i ludnościowym interesem kraju, lecz zyskiem. Okres osadnictwa tego typu dobiega konca. Dostępnem jest ono tylko dla osób przedsiebiorczych, rozporządzających pewnymi zasobami pieniężnymi. Dla wychodźcy polskiego wartość może mieć tylko osadnictwo prowadzone przez rząd. Odbywa się ono na organizujących się terytoryach, znajdujących się pod zawiadywaniem rządu związkowego. Do rzędu takich należy stan Washington nad brzegiem Oceanu spokojnego, ze stolicą Seatel. Kolonizacya ta może wychodźcę polskiego uchronić od nędzy, i pozwala mu spodziewać się dobrobytu w przyszłości nienazbyt jednakże blizkiej. Co się tyczy Kanady, to jest to kraj mający po temu dane przyrodzone, żeby zostać groźnym współzawodnikiem przemysłowym na rynku światowym, posiada bowiem liczne spadki wodne, dostarczające najtańszych motorów niemal wszystkie rodzaje rud metalowych, w doborowym gatunku oraz bogate pokłady węgla; są tu też duże przestrzenie urodzajnej gleby dziewiczej, dobrze zorganizowany przemysł łowiecko-myśliwski i rybacki. Dzięki temu może ten kraj wchłonąć znaczną ilość wychodźstwa. Wychodźstwo zarobkowe do Kanady ma mniej widoków powodzenia z tej racyi, że jakkolwiek kraj ten zmierza świadomie do wytworzenia wielkiego przemysłu wywozowego, to jednak zbliża się do tego stopniowo, bez gorączki. Co się tyczy wychodźstwa osadniczego to Kanada mogłaby przyjąć nawet masowy jego napływ. Wychodźstwo zarobkowe, niezbyt tłumne znajdzie też tu pewne zarobki, niższe jednak, niż w Stanach Zjednoczonych, lecz zrównoważone większą taniością życia.

(c. d. n.

Obserwator.

Ruchy chłopskie na Węgrzech.

(Dokończenie).

Sędziowie komitatowi zaczęli natychmiast, z zupełnem pominięciem istniejących na papierze praw konstytucyjnych, zakazywać wszelkich zebrań chłopskich, więzić i wydalać mówców oraz organizatorów i ich wybitniejszych zwolenników. Ze strony pełnego fantazyi i energii ludu madziarskiego wywołało to nadzwyczaj ostry opór. Żył on w tradycyach walk narodowych roku 1848 i dumny był z oporu, jaki wtedy stawiać potrafił. Te-

raz z kolei, ku niegasnącemu dotychczas zdziwieniu szlachty, chłopi zaczęli się pytać, co rok 48 przyniósł *im*, i od tradycyj patryotycznych przeszli do walki socyalnej. Od roku 1891 ciągnie się szereg zatargów, wybuchów, gdzieniegdzie wprost buntów z policyą i wojskiem, wywoływanych, jak przyznaje sam hrabia Majlath, postępowaniem władz lokalnych, zakazami zgromadzeń i prześladowaniami agitatorów. Wreszcie w r. 1897 partya socyalno-demokratyczna urządza w Budapeszcie pierwszy kongres krajowy robotników rolnych, na którym delegaci różnych okolic stykają się z sobą, opowiadają sobie nawzajem swoje żale, pragnienia i formułują szereg żądań najbliższych, które są następujące: dwunastogodzinny maximum dzień pracy, zniesienie dzierżawy działków za robociznę, i w ogóle wynagrodzenie w pieniądzach nie w naturze, zakaz pracy dzieci do lat 14, wynagradzanie kobiet za równa pracę na równi z mężczyznami, utworzenie kas chorych i emerytów na starość. Dla poparcia tych żądań, no i oczywiście podwyższenia zarobków wogóle, kongres uchwalił urządzić strajk powszechny podczas żniw.

Istotnie, strajk ten przyszedł do skutku prawie w całym Alföldzie, wywołując prawdziwą panikę wśród szlachty i nadzwyczaj ostre środki administracyjne ze strony rządu. Rząd węgierski nie poprzestał jednak na zwykłych w takich razach konfiskatach, rewizyach, aresztowaniach, sądach, strzelaninie i innych sposobach przymusu, lecz zorganizował całą pomoc gospodarczą dla zagrożonych właścicieli. Minister rolnictwa, dr. Ignacy Daranyi, uważał się niejako za delegata i męża zaufania szlachty. Sciągał on z całego kraju robotników rolnych, oświadczających gotowość do pracy, gromadził ich w wielkim, rządowym folwarku stadninowym Megühegyes, położonym w samym środku Alföldu, i stamtąd rozsyłał do majątków prywatnych, w których wybuchł strajk. W folwarku tym znajdowało się jednocześnie 3,000 robotników, na miejsce wysłanych sprowadzano wciąż nowych, razem, jak z uznaniem oblicza Majlath, minister dostarczył prywatnym właścicielom 5,277 robotników. Jechali oni na miejsce przeznaczenia i pracowali pod opieką żandarmów, ażeby agitacya strajkowa nie mogła wywrzeć na nich żadnego nacisku ani wpływu, no i zapewne wogóle, żeby im się nie odechciało pracować. Strajk na razie nie przyniósł robotnikom korzyści, natomiast obywatelom, pomimo tak zorganizowanej dostawy rąk, wielkie straty.

Agitacya rolna przybrała także inną formę. Jeszcze w tym samym roku od partyi socyalno-patryotycznej odłączył się jeden z jej członków, Stefan Varkonyi, i na spółkę z anarchistą Eugeniuszem Schmittem założył nową partyę „agrarno-soayalistyczną,“ której hasłem był podział gruntów szlacheckich pomiędzy chłopów bezrolnych i małorolnych. Wydawał on w Budapeszcie pismo p. t. „A földmürelö“ („Rolnik“) i potrafił stworzyć silną organizacyę, szczególniej w powiatach przy północnym biegu Cisy. Agitacyi tej wypierała się zresztą najzupełniej właściwa partya społeczno-demokratyczna. Chłopi wierzyli, że, arcyksiąże Rudolf nie umarł, lecz wydał rozkaz podziału, którego tylko szlacheccy urzędnice nie chcą spełnić; wierzyli, a może im to podsunięto, że opłacenie prenumeraty za pismo Varkonyi'ego daje prawo do otrzymania odpowiedniej części dzielonych gruntów; podobno żony opłacały za mężów, przebywających w Ameryce, i za małe dzieci. Organizacya przybrała tutaj formy uroczyste i mistyczne: składano przysięgi, zbierano się w nocy i tak dalej. Rok 1898 a nawet i 1899 pełen był krwawych starć między policyą i wojskiem a chłopami w komitatach Zemplin i Szaboles.

„Społeczeństwo“ węgierskie, czyli właściwie znajdujące się zupełnie w ręku szlachty rząd, parlament i sądownictwo, reagowały na te ruchy. Pierwszym był odruch zemsty. Posypały się wyroki, ferujące w sumie setki lat ciężkiego więzienia. Drugi był — odruch zabezpieczenia się. W roku 1898 uchwalone zostało przez parlament prawo (t. zw. „artykuł II z r. 1898“), mające na celu — jak się eufemicznie prawodawca wyraża — „zabezpieczenie spokojnego ukończenia pilnych robót w polu“. Główną jego treścią jest wprowadzenie książeczki dla robotników rolnych, w której wpisuje się kontrakt i świadectwa z ukończonej roboty i która uniemożliwia zawarcie innego kontraktu przed dotrzymaniem pierwszego, oraz nałożenie nowych kar za udział w strajku rolnym i za samo podburzanie do niego. Kary te są i pieniężne i *jednocześnie* więzienne. Nawet prawnicy węgierscy mieli wiele do zarzucenia temu prawu, a mianowicie jego jednostronność i widoczną klasowość, polegającą na tem, że robotnicy za złamanie kontraktu karani są więzieniem, a właściciele za to samo przestępstwo — jedynie grzywną, która dla nich oczywiście nie jest bardzo dotkliwą. To samo prawo zawiera zresztą i „reformę,“ która poczęści przynajmniej zaspakaja jedno z żądań robotników rolnych; ustanawia mianowicie, że opłata w kontrakcie musi być określona podwójnie, w pieniądzach i w naturze, i że po żniwach robotnik ma prawo wybrać jeden z tych dwóch sposobów wynagrodzenia. Następnie w r. 1899 wydane zostało nowe prawo, dotyczące wytrąceń z zarobku, które przedtem, jak widzieliśmy, zależały wyłącznie od widzi mi się pracodawców. Prawo to ustanawia, że wytrącać wolno jedynie w razie zrobienia przez robotnika lub parobka rzeczywistej szkody materyalnej, i to nie samowolnie, lecz jedynie na mocy wyroku sędziego — wójta najniższej instancyi. Co prawda, rękojmia to niewielka wobec wybitnie szlacheckiego charakteru tych urzędników. W r. 1900 w dalszym ciągu wprowadzono organizacyę pośrednictwa pracy dla robotników rolnych, które zresztą conajmniej w równym stopniu służy interesom pracodawców, jak robotników, i jest dla pierwszych także jednym ze środków zabezpieczających na wypadek strajku. Wreszcie w tymże roku zrobiono jeszcze coś dla robotników: wprowadzono ubezpieczenia od choroby, nieszczęśliwych wypadków przy pracy i na starość. Wartość tej reformy jest jednak niewielka: ubezpieczenie nie jest obowiązkowem, tylko dobrowolnem. Ubezpieczony płaci stosunkowo wysoką składkę, 20 halerzy tygodniowo, a jeśli jest parobkiem z rocznym kontraktem, to właściciel ziemski dopłaca za niego do kasy 1 kor. 20 halerzy rocznie. Państwo daje na ten cel od siebie wszystkiego 100 tysięcy koron rocznie. Za to w razie choroby otrzymuje interesowany po koronie dziennie przez dni 60, w razie niezdolności do pracy — przeważnie 10 koron miesięcznie, w razie śmierci od wypadku przy pracy rodzina otrzymuje jednorazowo odszkodowanie, nieprzewyższające 400 koron, a robotnik, który doczekał 65 roku życia i ani razu nie pobierał zapomogi z tytułu wypadku lub choroby, dostaje jednorazowo również 100 kor. To ograniczenie tłomaczą w taki sposób, że ma ono na celu powstrzymanie robotników od zgłaszania się z ranami lub chorobami drobnemi i „wyzyskiwania“ kasy.

Po ruchu agrarnym lat 1897—8 rozwinął się także silniej ruch współdzielczy wiejski; światlejsza szlachta i rząd raczyli go popierać, jako środek podniesienia dobrobytu chłopów i zapobiegania gwałtownym wybuchom niezadowolenia. Poprzednio zwyczajne, niewinne kooperatywy były uważane także za jakieś spiski przeciw bezpieczeństwu państwa, specyalnie prezes ministrów baron Banffy wsławił się ich prześladowaniem.

Takie były pośrednie rezultaty ruchu robotników rolnych. Jednakowoż nie mogły one ruchowi temu na czas dłuższy położyć tamy. W r. 1903 znowu były silne zaburzenia w południowych Węgrzech pomiędzy robotnikami narodowości serbskiej i rumuńskiej; nawet umiarkowani, ale przewidujące politycy węgierscy czują, że dopóki nie nastąpią reformy gruntowniejsze, kraj będzie się znajdował pod groźbą powtarzania się strajków rolnych.

K. Krauz.

Józef Jerzy Strossmayer.

Z widowni życia kulturalno-politycznego południowej Słowiańszczyzny znikła jedna z najwybitniejszych postaci. Zmarł biskup dyakowski—Józef Jerzy Strossmayer, który w ciągu lat kilkudziesięciu odgrywał rolę wybitną w swej ojczyźnie — Chorwacyi, od czasu do czasu występując i na szerszą widownię.

Jak już samo nazwisko wskazuje, Strossmayer nie był rodowitym Chorwatem. Pochodził on z rodziny kolonistów niemieckich, przesiedlonych do Slawonii z Austryi za panowania cesarza Leopolda. Rodzice przyszłego biskupa dyakowskiego byli zresztą już zupełnie schorwaceni. Przyszedł na świat w r. 1815-ym w Osieku slawońskim. Po studyach filozoficznych w Dyakowie, w Peszcie i Wiedniu w roku 1838-ym otrzymał święcenia duchowne. Nadzwyczajne zdolności i wszechstronne wykształcenie pozwoliły mu posuwać się bardzo szybko w hierarchii duchownej. Ze stanowiska profesora matematyki i nauk przyrodniczych w seminaryum dyakowskiem szybko awansuje na rektora zakładu teologicznego „Augustineum“ w Wiedniu, zostaje kapelanem cesarskim, a w 34-ym roku życia otrzymuje infułę biskupią w Dyakowie, w najbogatszej pod względem uposażenia dyecezyi austryackiej.

Do roku 1860-go nie odgrywał żadnej roli politycznej, jakkolwiek już podczas pobytu w Wiedniu, żywo się sprawami politycznemi interesował i utrzymywał dość rozległe stosunki w sferach działaczy politycznych. Wówczas to zaprzyjaźnił się z wybitnym politykiem czeskim — Władysławem Riegerem i księciem Jerzym Lubomirskim z Przeworska. W r. 1860-ym został powołany do Wiednia na członka t. zw. wzmocnionej Rady państwa pod przewodnictwem arcyksięcia Rainera. Tu należał do grupy autonomistów wraz ze Smolką i zwalczał dążenia centralistów z jednej strony a Madziarów z drugiej, broniąc ludów słowiańskich wobec tendencyj germanizatorskich i madziaryzacyjnych. Uważał Austryę za powołaną do rozwiązania kwestyi wschodniej, przyczem jako gorący patryota chorwacki, pragnął, aby Chorwaci przeprowadzili zjednoczenie całej Słowiańszczyzny południowej — pod opieką Austryi.

W sejmie chorwackim był przewodniczącym komisyi „ugodowej“ i bronił zacięcie samodzielności Chorwacyi. Wkrótce też wysunął się na czoło narodowego stronnictwa chorwackiego, które dążyło do zapewnienia Chorwacyi zupełnej samodzielności państwowej w obrębie monarchii Austro-węgierskiej. Strossmayer wraz z całem swem stronnictwem wychodził z tego stanowiska, że Chorwaci na sejmie Cetyńskim w r. 1527-ym dobrowolnie wybrali na swego króla Ferdynanda I, nie jako króla węgierskiego, ale jako arcyksięcia austryackiego i króla czeskiego i że przyjęli sankcyę pragmatyczną o 11 lat wcześniej od Węgier

(w r. 1712-ym). Wobec tych faktów historycznych Chorwacya w żadnym razie nie może być uważana za prowincyę Węgier, tylko powinna stać się jednym z równouprawnionych członków federacyi austrowęgierskiej. Samodzielność narodowa Chorwatów była ideą przewodnią Strossmayera. Powracał on do tej sprawy w coraz to nowych mowach i listach pasterskich. „Naród, który myśli ciągle, że tylko pod obcem skrzydłem, pod cudzą władzą i z obcą pomocą żyć potrafi—taki naród gnije i upada, taki naród oczywiście nie posiada warunków życia i przyszłości“ — tak formułował swój patryotyzm Strossmayer w jednej z mów, wygłoszonych do rodaków.

W Dyakowie schodziły się nici polityki chorwackiej i południowo-słowiańskiej wogóle. Od Zagrzebia i Cetynii aż do Wiednia, Pesztu, Rzymu i Konstantynopola Strossmayer posiadał wszędzie swoich ludzi zaufanych, którzy donosili mu o wszystkiem i działali, ściśle spełniając jego polecenia. Węgrzy też uważali go za ogromnie niebezpiecznego przeciwnika swego, tak samo jak i centraliści niemieccy, starano się więc z dwóch stron podkopywać jego wpływy, zwłaszcza w Wiedniu, u tronu. Obawiając się utraty dyecezyi, pozwalającej mu rozwijać bardzo skuteczną działalność, Strossmayer w pierwszej połowie 8-go dziesiątka usunął się z widowni jawnej działalności politycznej, przerzucając się głównie do pracy nad kulturalnem wzmocnieniem narodu chorwackiego i umożliwieniem mu tą drogą objęcia przewodnictwa nad całą Słowiańszczyzną południową. Na tem właśnie polu zasługi Strossmayera są niepożyte. Już w roku 1867 ofiarował on znaczną sumę pieniędzy na założenie „Południowosłowiańskiej Akademii umiejętności i sztuki“, którą następnie wspierał stale bardzo hojnie. Instytucya ta miała się stać ogniskiem narodowem dla całej Słowiańszczyzny południowej i przez jakiś czas, dopóki w Belgradzie i Sofii nie założono stowarzyszeń analogicznych, odgrywała tę rolę. Otwarty w r. 1877-ym w Zagrzebiu uniwersytet w znacznej mierze zawdzięcza swe powstanie Strossmayerowi, który przez 10 lat dawał nań po 50,000 złr. rocznie. Bogaty, milionowej wartości zbiór dzieł sztuki, gromadzony przez Strossmayera w ciągu dziesiątków lat, stał się podstawą Muzeum narodowego w Zagrzebiu. Do tego dodać należy szczodre ofiary na rozmaite instytucye, powstałe nie z inicyatywy biskupa dyakowskiego, a popierane przezeń z całą energią. Śmiało rzec można, że połowę swego dorobku cywilizacyjnego Chorwacya zawdzięcza Strossmayerowi.

Zmarły patryarcha chorwacki odznaczał się wielką odwagą cywilną, co mu zjednało dużo nieprzyjaciół. Pamiętne było jego wystąpienie na soborze watykańskim, w r. 1870. Był on jednym z gorących przeciwników ogłoszenia „dogmatu“ o nieomylności papieża i z całą zaciętością zwalczał ten pomysł oraz Jezuitów jego promotorów. We wspaniałej mowie łacińskiej zażądał, aby każdy „dogmat“ był uznany za ważny jedynie za zgodą wszystkich biskupów świata, nie zaś tylko soboru. Gwałtowna jego mowa doprowadziła do starcia z papieżem Piusem IX, który mu głos odebrał. Na podobne zajście z cesarzem Franciszkiem Józefem naraził się w r. 1888-ym przez wysłanie do Kijowa telegramu panslawistycznego na uroczystość jubileuszową chrztu św. Włodzimierza. Wśród własnych rodaków Strossmayer wywołał niemiłe zgorszenie, przyjmując u siebie i rewizytując bana hr. Khuen-Hedervary'ego.

Sprawy polskie nie były obcemi Strossmayerowi, który znał piśmiennictwo polskie, kupował obrazy polskie do swej galeryi, nawet mówił po polsku.

Leon Wasilewski.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Język polski.

Obraz niezwykły, bo od trzydziestukilku lat niewidziany. Cała prasa warszawska mówi o potrzebie przywrócenia praw językowi polskiemu w życiu publicznem a przedewszystkiem w szkole. Dotąd o tem myślano, szeptano pokazywano sobie na migi, ale nie pisano. Aż się nie wierzy własnym oczom. Jaki to potężny mocarz, jaki wszechładny czarodziej jest czas! Ale do rzeczy...

Nieraz wobec t. zw. języków powszechnych zastanawiałem się nad tem: czy to są znaki kierunku przyszłości? Czy mowy ludzkie zleją się kiedyś w jedną wspólną rzekę, rodzaj Nilu bez dopływów? Zawsze odpowiadałem sobie, że — nie. Wynalezienie jakiegoś wszechświatowego organu dla porozumiewania się ludzi między sobą jest nie wątpliwie ideą słuszną i kiedyś jakiś „Esperanto“ obejmie swą siecią kulę ziemską. Ale dla wyrażenia swych uczuć i myśli człowiek na różnych punktach tej kuli będzie używał rozmaitych form. Ujednostajnienie go w istocie i w objawach wydaje mi się niemożliwem nawet w najdalszym okresie rozwoju kultury. Dopóki istnieć będą różnice klimatu, plastyki krajobrazów, natężenia światła, bujności roślin, rozkładu wód i lądów, dopóty wychowywać się będą wśród nich odmienni ludzie i odmienne ich mowy. Język nie jest zbiorem futeralików i pudełeczek dla naszych myśli i uczuć, lecz stanowi ich skorupę i łupinę, z której one się rodzą jak orzechy, jak ziarna zboża. Pszenicę można zemleć na mąkę jadalną wszędzie, lecz pszenica dojrzeć może tylko w pewnej glebie i w pewnej łusce. Ogromnie pouczającem jest doświadczenie, jakiego historyi i psychologii ludów dostarczyła Szwajcarya: pomimo swej wysokiej cywilizacyi, pomimo używania w szkołach i literaturze trzech języków europejskich, zachowuje ona w życiu prawie tyle narzeczy, ile posiada jego ognisk terytoryalnych. Gdyby język był tylko sztucznem narzędziem, służącem dla zadośćuczynienia potrzebom zwyczajnych stosunków, wystarczyłby dla całej ludzkości. Tymczasem on jest równocześnie tworem przyrodzonym, zależnym od rodzaju, od uzdolnień, wzruszeń, i dążeń duchowych każdej uorganizowanej grupy społecznej. On w niej nie da się zastąpić innym, jak najgorsza skóra człowieka nie da się zastąpić najlepszym safianem. Naturalnie im większą jest ta grupa, im starsza jest jej kultura, tem możliwość dokonania takiej operacyi staje się nieprawdopodobniejszą. Niepotrzeba żadnych prób, przykładów i rozumowań, bo jest to reguła niemająca dotychczas wyjątków, że żadna siła nie odbierze żywemu narodowi jego języka. Wielkie wojsko, które rozgromi dobrze uzbrojoną i waleczną armię dojrzałych ludzi na polu bitwy, nie pokona bezbronnej i trwożliwej gromadki ich dzieci w szkole. O prawa natury rozbija się wszelka potęga.

Rosya rozwijała się dotychczas przeważnie w kierunku państwowości i dlatego wytworzyła w sobie talenty i metody postępowania, które służyły doskonale takim przedsięwzięciom a okazały się zupełnie bezsilne w kulturalnych. Jej politycy mniemali, że jak rozkaz wydany w pewnej formie pewnej ilości ludzi może wygrać bitwę lub nawet zdobyć kraj, tak samo może on przekształcić całą odmienną budowę kultury społeczeństwa. Dla historyków, dla filozofii życia, nawet dla mężów stanu, uwzględniających jego konieczności, nie było to zgóry wątpliwem, że szkoła nienarodowa śród Polaków prędzej czy później musi zbankrutować, że żaden rozkaz wydany w pewnej formie pewnej ilości działaczów nie zdoła złamać mowy języka polskiego w jego ojczyźnie. Jeżeli Rosya nie strawiła dotychczas w swem wnętrzu ani jednego, nawet najmniejszego i najsłabiej rozwiniętego plemionka, to czyż można było przypuszczać, że ona tego dokaże z wielkiem i wysoko ucywilizowanem społeczeństwem, że podczas gdy nietylko Tatarzy Gruzini, ale Czuwasze i Jakuci zachowali swoją mowę, Polacy nie obronią własnej? Tej omyłki, tej — powiedzmy — naiwności politycznej niepodobna sobie wytłomaczyć inaczej, tylko wiarą w skuteczność działania naciskiem zewnętrznym. Sposoby i nałogi postępowania, wytworzone dla osiągnięcia celów wyłącznie państwowych, przy robotach zdobywczo-asymilicyjnych dbają głównie o formę pożądanych wyników a nie o wyniki same. Aby cegły były równych wymiarów i przystawały do siebie, to mniejsza z czego i czy są należycie wypalone. Przez lat 30 szkoła była u nas z wierzchu rosyjską i to jej kierownikom wystarczało. Tymczasem widok, jaki się w niej okazał po spadnięciu zasłony, był tak stanowczem rozwianiem złudzeń, że nie pozostały nawet po nich strzępy.

Z dzienników warszawskich rozpoczęła się nagle strzelanina do twierdzy szkolnej w naszym kraju nabojami w znacznej sumie zmarnowanymi. Tak np. p. Libicki w *Kur. Warsz.* wyliczył wszystkie korzyści, jakie daje społeczeństwu ojczysty język w oświacie i wszystkie szkody, jakie ono odnosi z jego utraty. Zapytajmy szczerze: na co są potrzebne i kogo mają przekonać te argumenty? Dla instancyj rozstrzygających w tej sprawie nie stanowią one zniewalających dowodów, dla nas są zbyteczne. Korzyść lub szkoda jednej strony niezawsze jest korzyścią lub szkodą drugiej, lecz odwrotnie. Nie wszystko bywa złem ze stanowiska całego państwa, co jest złem ze stanowiska jakiejś, zawartej w niem narodowości. Że dzieci nie tego i nie tak się uczą, jak my chcemy, to tylko nasz kłopot. Z długiego tedy szeregu argumentów, przytoczonych przeciwko szkole rusyfikującej, rzeczywistą wagę pod swoim adresem posiada tylko jeden, mianowicie, że ona okazała się bezsilną wobec przyrodzonej mocy języka polskiego i stała się główną przyczyną, podsycającą stan wrzenia w kraju. Oto jest fakt, z którym państwo się liczy. Czy wszakże sam on zrodzi pożądaną reformę w tak wielkich rozmiarach, w jakich ją kreślą nasze życzenia? Nie sądzę. Gruntowne przekształcenie całego systemu oświaty nie jest sprawą samoistną, w sobie samej zamkniętą. Szkoła bowiem nie stanowi instytucyi od innych wyodrębnionej i niezależnej, lecz jeden z organów państwa, ściśle z nim zrosły i od jego ustroju zawisły; tylko więc wraz z nim może ona uledz zmianom i rozwojowi. Wszelkie też próby wywołania tych zmian przez wpływy zamknięte w jej obrębie a tem mniej w jakimś odcinku jej gruntu, są staraniami daremnemi. Mówiąc wyraźniej: szkoła w państwie rosyjskiem przetworzona będzie łącznie z ogólnemi jego reformami i wtedy również, dopiero wtedy, może przeistoczyć się szkoła w Królestwie Polskiem.

Oczekiwanie zamierzonych skutków w polityce od zasadnych i dobrze umotywowanych wywodów logicznych i etycznych należy do najczęstszych i najnaiwniejszych złudzeń. Niepoprawnym marzycielom ciągle się zdaje, że jeśli czegoś niezbicie do-

wiodą, a zwłaszcza jeśli przytoczą odpowiednie artykuły prawne, mają sprawę wygraną. Jest to iluzya czysto palestrancka. Polityka bowiem — w naturze swojej przemysł i handel — zna tylko jeden argument przekonywający — interes. Po za nim szkoda trudzić wzywaniem na świadectwo bogów, mądrych i zacnych ludzi, szkoda powoływać się na prawodawców i na wyroki bezstronnych sędziów. Kto ma do sprzedania lub wymiany na targowisku politycznem jakiś interes, niech spieszy, bo zarobi; kto nie ma, niech siedzi w domu i rozmyśla nad tem, jakieby można wprowadzić poprawki do najlepszego ze światów.

Jeśli wolno być prorokiem, przepowiadam, że język polski wróci do szkoły i do tych instytucyi, w których dawniej przebywał a został usunięty. Ale nie sprowadzą go żadne memoryały, podania, noty, dokładne zapiski i tym podobne kwiaty, hodowane na starych zachwaszczonych zagonach.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

Th. Lipps.

Przyczynek do psychologii DEKADENTYZMU *)

Dekadentyzm istniał po wsze czasy, jednak objawy jego nie występowały w takiej pełni we wszystkich dziedzinach życia, jak się to dzieje obecnie.

Po raz pierwszy zacząłem zastanawiać się nad tą kwestyą pod wrażeniem przedstawienia pewnego hypnotyzera zawodowego. Po zagajeniu, które miało na celu obudzić zaufanie słuchaczów, hypnotyzer podchodził do osób poddawanych doświadczeniu, brał je za głowy, przechylał i rozkazywał: głowę w tył, oczy zmrużyć, usta szeroko otworzyć, a później zapowiadał: teraz nie możesz pan pochylić głowy, zamknąć ust i t. p. I kazał im wykonywać różne czyny bezmyślne.

Widok tych osób, automatycznie pełniących poddawane czynności, był nad wyraz przykry, a rozkazy hypnotyzera uprzytomniły mi inne, którymi się dziś ludzie wprawiają w stan hypnozy: całe to widowisko wydało mi się jak gdyby zdrobniałem odbiciem dekadentyzmu współczesnego.

Hypnotyzer słusznie zauważył, że poddawanie myśli opiera się na podstawach całkiem naturalnych.

W naturze każdego, nawet najnormalniejszego człowieka tkwi skłonność do ślepego ulegania woli tych osób, które uważa się za autorytety, do ślepej wiary w ich twierdzenia, słowem do automatyzmu woli i sądów; w naturze naszej tkwi dążność do przeżywania cudzych stanów wewnętrznych zwłaszcza, jeżeli poznanie ich zawdzięczamy objawom zewnętrznym, bezpośrednio działającym na nasze zmysły. Jest to, że tak powiem instynkt naśladowczy, w szerokiem tego słowa znaczeniu.

Sposób w jaki hypnotyzer zbliżał się do osób poddawanych doświadczeniu, brał je za głowę i t. d. był zapewne dla niektórych niespodzianką. Zgodnie zaś z ogólnem prawidłem psychologicznem rzeczy niespodziewane ze szczególną łatwością zyskują przewagę nad duszą.

Lecz obok tego instynktu naśladowczego i tej powstającej przewagi rzeczy niespodziewanych, żyje w nas w każdej chwili własna, wolna osobowość. Jej mniej lub więcej bogata treść przeciwstawia się wpływom suggestyi. Obce życzenia i rozkazy budzą w nas w normalnym wypadku wątpliwości i rozmyślania, dowody za i przeciw, słowem całą zawartość naszego ja. Obce sądy i chcenia opanowują nas albo odwrotnie nasza osobowość bierze górę nad otrzymanem wrażeniem i narzuconem wyobrażeniem, przerabia je i wyznacza im odpowiednie miejsce w ogólnej zawartości duszy albo też odrzuca. Im żywszymi są te stany własne, im większą zdolnością asymilacyjną obdarzona jest osobowość, jednem słowem im zdrowszym duchowo jest osobnik, tem szybciej i z większą stanowczością przebiega cały proces, tem większą jest jego odporność wobec suggestyi.

Przypuśćmy jednak, że obce nakazy i twierdzenia słabo lub wcale nie budzą w jednostce odpowiednich, własnych wyobrażeń, doświadczeń i motywów, że zwłaszcza sprzeczne wyobrażenia i motywa są nieżywotne, że świadomość i wola odmawiają oporu; wówczas jednostka nie posiada nic, czem by mogła przeciwdziałać skłonności wierzenia w cudze sądy i chęci wykonania obcych nakazów; taka jednostka mniej więcej biernie ulega suggestyi.

Hypnoza jest jak gdyby ogólnym stanem uśpienia z którego się wyłania mała wysepka świadomości — to co poddaje hypnotyzer. Jego słowa pochłaniają całkowicie uwagę osoby hypnotyzowanej, odciągając ją od pozostałych stanów duchowych, że tak powiem od pozostałej duszy.

Bierne poddawanie się hypnozie świadczy o „podatności hypnotycznej“ danego osobnika. Pod wyrazami tymi rozumieć należy, że w duszy jednostki nici kojarzące wszystkie jej wyobrażenia i myśli z łatwością ulegają rozluźnieniu czyli „dysocyacyi psychologicznej“.

Wszelkie powstające w nas wyobrażenia dążą do wywołania wyobrażeń sprzecznych, warunkujących naszą odporność, jednocześnie te same wyobrażenia starają się ową odporność stłumić. Wszelki proces duchowy, wszelkie wrażenia i wyobrażenia zmierzają zależnie od stopnia napięcia uwagi, jaką wzbudzają, do wywołania współzależnych stanów duszy i skierowania ku nim uwagi. (Dotyczy to szczególniej wyobrażeń przeczących i uzupełniających). Jednocześnie, zależnie od siły wrażeń wywieranych, usiłują one skupić uwagę wyłącznie na sobie, a tem samem dążą do wyzwolenia się ze skojarzeń z innymi stanami psychicznymi, do obezwładnienia tych innych wyobrażeń i uśpienia pozostałego obszaru duszy. Zdaje się to być sprzecznością.—A jednak obie tendencye istnieją w każdej chwili współrzędnie, jednakowoż na jaw występują w różnych warunkach.

Pewne wyobrażenie budzi wybrażenia pokrewne, wówczas gdy są one ze sobą ściśle powiązane, a zatem istnieją warunki sprzyjające asymilacyi, zlaniu się tego wyobrażenia z całością duchową. To samo wyobrażenie ulegnie dysocyacyi, wywoła ospałość w środowisku otaczającem, jeżeli osobnik posiada skłonność do dysocyacyi, jeżeli związek pomiędzy wyobrażeniami jest luźny i nie warunkuje bezpośredniej konieczności oddziaływania.

Niezbyt subtelnym przykładem możemy rzecz tę nieźle zobrazować.

Wyobraźmy sobie, że pewien punkt w spokojnie leżącej tkaninie ulegnie gwałtownemu szarpnięciu. Jeśli tkanina jest „zdrową”, mocną, to za miejscem pociągniętem pójdzie całość, jeśli zaś jest zbutwiałą „chorą” to część szarpnięta oddzieli się, a reszta pozostanie nieruchomą. Podobnie dzieje się z duszą człowieka. Postawmy tylko na miejscu tkaniny osobowość ludzką i jej budowę jednolitą, w miejsce punktu poruszanego w tkaninie — pojedyncze wrażenie lub wypadkowo wyłaniające się wyobrażenie.

Przypuśćmy, że jakieś wydarzenie nas przestrasza; wrażenie występuje tu gwałtownie i dzięki temu posiada w szczególnej mierze zdolność wyodrębniania się i dysocyacyi. Do pewnego stopnia wywiera ono ten wpływ na jednostki najnormalniejsze, to jest takie, które nie są podatne do rozluźnienia całości duchowej. Chwilowa dysocyacya powoduje pewne przytłumienie całości życia duchowego, które jednakże przy warunkach zwykłych, szybko ustępuje. Znamy dobrze oszałamiające działanie przestrachu, które się nawet czasem wyraża obezwładnieniem ciała.

Przypuśćmy dalej, że pewien fakt zachodzi mniej raptownie i z mniejszą gwałtownością, jakkolwiek jest dla nas niespodziany. Dajmy na to, że otrzymujemy nieoczekiwanie nader ważną wiadomość. W tym wypadku dwa będą wyjścia możliwe. Albo wieść wywoła w nas niezwłocznie związane z nią wyobrażenia: uprzytomnienie faktów, które ją podadzą w wątpliwość, myśl o jej skutkach, wyobrażenie działań, które przedsięwziąć należy. Może być jednak odwrotnie, że zostaniemy ogłuszeni wieścią, niezdolni do myśli. W tym ostatnim razie ulegniemy pewnego rodzaju hypnozie, sparaliżowaniu pozostałych (poza wrażeniem) stanów duchowych i dopiero po pewnym czasie powrócimy do równowagi.

Pomiędzy obu powyższemi możliwościami zachodzi głęboka różnica psychologiczna. W tym drugim wypadku jesteśmy skłonni do dysocyacyi psychicznej i wrażenie opanowywa nas, w pierwszym zaś jesteśmy od niej wolni i pozostajemy panami wrażeń.

Podobną różnicę mogliśmy już zauważyć podczas wzmiankowanego na początku przedstawienia. Nie wszyscy poddawani doświadczeniu ulegali woli hypnotyzera. Niektórzy pomimo jego nakazów wciąż robili to tylko, co się im, nie zaś hypnotyzerowi podobało.

Nie chodzi nam teraz jednakże o poddawanie myśli przez hypnotyzerów zawodowych, ani o działanie faktów oderwanych, które nas przerażają lub zadziwiają. Chcemy mówić o rzeczy znaczenia ogólniejszego: o tej chorobie, której już nieraz społeczeństwo ulegało, a którą obecnie zdaje się być ogarniętem powszechnie. Mówimy o dekadentyzmie.

I tu mamy przedewszystkiem do czynienia z podatnością hypnotyczną, ze skłonnością do dysocyacyi psychicznej.

Na każdym kroku osoby i rzeczy wywierają na nas pewien wpływ i podsuwają pewne wyobrażenia. Chodzi jednak zawsze o to w jaki sposób wyobrażenia te w nas działają. I zawsze może być jedna z dwu odpowiedzi: pozostanę panem wyobrażeń, jeśli posiadam jednolitą, silną osobowość, albo one otrzymają przewagę, jeśli jestem słabą, senną, łatwo rozluźniającą się osobowością.

Pojęcie „osobowości jednolitej” może się wydać zbyt ogólnem i rozciągłem. Postarajmy się przeto określić je bliżej.

Oznacza ono w dziedzinie poznania bogaty, jasny „rozum”, w sferze odczuwania estetycznego—wszechstronny, wyrobiony, a

---

*) Th. Lipps, jeden z najgłośniejszych i bardzo oryginalnych myślicieli niemieckich, którego wykłady psychologii ściągają setki słuchaczy do uniwersytetu monachijskiego, jest u nas mało albo i wcale nieznany. Ponieważ poglądy tego uczonego zasługują ze wszech miar na poznanie, podajemy przekład jednej z drobnych prac jego. Zastrzegamy tylko, że przekład nie jest dosłowny, gdyż ze względów językowych pewne skrócenia okazały się niezbędne.

Tłom.

nadewszystko własny „smak" w dziedzinie woli—pełnię celów, stanowczość i określoność praktycznych i moralnych sądów i czynów. W tym ostatnim razie mówimy o tak zwanem „sumieniu". Wszystko razem tworzy charakter i stanowi o duchowem zdrowiu jednostki.

Charakter jednolity i władna osobowość nie są to cechy wrodzone, jedynie z biegiem życia można je w sobie wyrobić drogą bezustannej asymilacyi i przeróbki coraz nowej treści duchowej. Nie byłbym w możności wyrobić w sobie jednolitej osobowości, gdybym od początku nie posiadał w sobie pewnej siły kojarzącej. Siłą tą jest dusza.

Dusza nie jest bezładnem nagromadzeniem wrażeń, wyobrażeń i pragnień, nie jest tłem obojętnem, na którem by one mogły występować, przeciwnie, jest to jednostka czynna, której dążnością zasadniczą jest przerabianie nowej treści i harmonijne łączenie jej w całość. Możemy być obdarzeni zdolnością taką w mniejszym lub większym stopniu. Obniżenie zdolności kojarzenia ma szczególną doniosłość dla stanu, który nazywamy dekadentyzmem.

Kładziemy jednocześnie, jako warunek stawania się wolną „osobowością", pewną, wewnętrzną ruchliwość i żywość, których objawem jest przyjmowanie wciąż nowej i nowej treści, inaczej, rzecz prosta, sile kojarzącej zabrakłoby materyału do pracy.—Również i tą ostatnią zdolnością możemy być obdarzeni w różnym stopniu. Zmniejszenie się zdolności wchłaniania nowej treści wypływa zazwyczaj z osłabienia siły kojarzącej albo też jest rezultatem upadku duchowego.

Ze zdolności przyswajania nowej treści i siły kojarzenia możemy wnosić o zdrowiu duchowem i stopniu możliwego dla danej jednostki rozwoju.

Najłatwiej przedostaje się do duszy człowieka to, co mu się bezpośrednio i wielokrotnie narzuca, a więc, co przemawia do zmysłów i co dotyczy bezpośrednio jego osobowości, co mu wpaja jego środowisko, przedewszystkiem zaś klasa i sfera społeczna, do której należy.

To wszystko, co w powyższy sposób zapuszcza głęboko korzenie w duszę człowieka, co posiada styczność z jego treścią duchową i łatwo daje się z nią spoić, to wszystko stanowi najwrażliwszą i najłatwiej pobudliwą strunę jego duszy. Odwrotnie, to co nie wchodzi w ów zakres zakorzeniony, może w jednostce nie znajdować wcale oddźwięku (wówczas naturalnie, jeżeli jest ona skłonną do dysocyacyi). Wyobrażenia zakorzenione łatwo się wyodrębniają, gdy występują z właściwą sobie energią, przerywają więzy, któreby je mogły połączyć z wyobrażeniami nowemi i nie dopuszczają do wzajemnego ustosunkowania. Gdy się to „obce" przedstawia jednostce, ona je „poznaje" lecz odczuwa właśnie, jako coś obcego, coś co wskutek swej sprzeczności z wyobrażeniami zakorzenionemi budzi protest ze strony tych ostatnich.

Na tle niewolniczego ulegania wyobrażeniom zakorzenionym powstają wszelkie odmiany fanatyzmu: fanatyzm narodowy i stanowy, fanatyzm najciaśniejszych interesów egoistycznych, wreszcie fanatyzm kościelny. Umyślnie mówię kościelny, nie zaś religijny, ten ostatni zawierałby sprzeczność w samej nazwie, religia bowiem z natury swojej wymaga otwartej myśli i serca otwartego, a tam gdzie fanatyzm głowę podnosi—tam o religii mowy być nie może. W fanatyzmie zawsze odnaleźć możemy dwa czynniki o których mowa powyżej: dodatni—szczególną pobudliwość w zakresie wyobrażeń zakorzenionych i ujemny—dysocyacyę. Ten ostatni jest cechą, charakteryzującą dekadentyzm. (d. c. n.)

spolszczyła *M. Kalinowska.*

ODCZYTY

w Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Cykl odczytów przyrodniczych, wygłoszonych w Muzeum w sezonie ubiegłym, rozpadł się na trzy działy: optyka, oceanografia, biologiczny wymaka się ściślejszemu określeniu. Każdy z tych działów powierzono trzem albo czterem prelegentom z tem zastrzeżeniem, że żaden z nich dłużej, nad jeden do dwóch wieczorów nie zajmie uwagi publiczności i będzie mówił najwyżej dwie godziny. Dodawać zbyteczna, że nie wychodzi to odczytom na dobre. Prof. H. Lorenz mógł w siedmiu czy ośmiu prelekcyach popularnych streścić całą niemal fizykę współczesną, zbliżyć słuchaczów czy czytelników do granic nauki nowoczesnej. Ale nawet on niewiele powiedziałby w ciągu godziny, zaczynając przytem ab ovo i marnując tyle czasu, ile go się tracić zwykło w Muzeum, na patetyczne wstępy i zakończenia. Opracowanie kooperacyjne tematów, które aż nazbyt dobrze i nawet lepiej, niż to się dzieje obecnie mógłby przedstawić jeden prelegent — jest kardynalną wadą w systemie sekcyi odczytowej, powoduje krzywdzące słuchacza stałego na rzecz przygodnego — powtarzania, odbiera odczytom wartość pracy jednolitej, pozbawia prelegentów możności wypowiedzenia się, rozwinięcia swych poglądów naukowych.

Najmniej ucierpiała na tem wszystkiem fizyka. Udatne doświadczenia p. Pożaryskiego, który jest bardzo zręcznym eksperymentatorem budziły i tym razem ciekawość. Mówił p. Poż. o „mierzeniu światła", zapoznając słuchaczów z budową i działaniem fotometrów, od Bunzenowskiego, aż do najnowszych typów włącznie, — termometrów itd.

Odczyt p. Kalinowskiego o „Widmie i barwach" był bardzo dobrym wstępem do następnych pogadanek z dziedziny optyki.

Podstawowe dane z oceanografii, więc tyczące się głębokości morza w różnych miejscach, map dna morskiego, temperatury wody, jej działalności twórczej i niszczycielskiej u brzegów, wreszcie fauny i flory głębinowej, wyłożyli słuchaczom dość pobieżnie i niezajmująco pp. Wróblewski, Jezierski i Lewiński. Ten ostatni stosunkowo przykuł najwięcej uwagę zebranych, dzięki bardzo śmiałej i pięknej teoryi geologicznej, dla której znalazł miejsce w swym odczycie — teoryi tetraedrycznego kształtu ziemi. Objaśnia ona w sposób bardzo efektowny istnienie mas lądowych odwiecznych i ruchy linii brzegowej.

W dziale biologicznym p. Tur obrał sobie temat bardzo ciekawy („Rozwój a postęp biologiczny"), ale nić przewodnią zupełnie zagubił pod nadmiarem kwiecia stylistycznego. P. Sosnowski mówił o „fizyologii i psychologii". Pogadanka p. Kulwiecia, obfitowała w barwne opisy „mieszkań zwierząt".

Zupełnie na uboczu, nie pozostając w żadnym związku genetycznym z powyższemi „sekcyami", stał znakomity odczyt p. Leonarda Jaczewskiego „Ciepło skorupy ziemskiej". Gieotermika rozporządza dotąd bardzo skromnym materyałem faktycznym. Kilkaset punktów obserwacyjnych, rozsianych zrzadka po globie ziemskim, daje tak małą w stosunku do wielkości zadania ilość spostrzeżeń, że budowanie syntez i uogólnień naukowych na ich podstawie jest bardzo ryzykowne. Te jednak fakty, które już zebrano, prelegent przedstawił słuchaczom w sposób jasny i pouczający. Przy pomocy całego szeregu oryginalnych tablic i dyagramatów wyłożył przypuszczalne powody istnienia zmarzlin, warstw o zmiennej temperaturze; wyjaśnił, czem jest gradient itd. Ale jeszcze ciekawsza była ta część odczytu p. Jaczewskiego, którą poświęcił gieogonii. Wywołała zapewne niewielką rewolucyę w umysłach słuchaczów, którzy pod wpływem podręczników szkolnych należeli do zwolenników płynnego jądra i mas ognistych we wnętrzu ziemi. P. Jaczewski bowiem przychyla się ku hypotezie stałego i zimnego jądra. Tę hypotezę streścił świetnie w ogólnych zarysach. Żałować tylko trzeba, że dla braku czasu pozostawił wiele pytań nierozstrzygniętych i wielu rzeczy nie domówił. Teoryom np. E. Suessa powstawania wulkanów, gejzerów itd. dostała się tylko wzmianka pobieżna.

Przystępny i zrozumiały dla wszystkich, mimo całej swej powagi naukowej, odczyt p. Jaczewskiego zasłużył sobie na baczną uwagę. Za wzór tego rodzaju prelekcyi, gdyby nie pewne usterki zewnętrzne śmiało mógłby służyć.

Br. W.

LITERATURA I SZTUKA

RACHILDE.

Niezwykle konsekwentnym i wytrzymanym jest typ główny—kobieta w „l'Animale;" dopowiedzeniem jego jest „La jongleuse". Ta ostatnia zrobiła na mnie największe wrażenie ze wszystkich utworów Rachilde'y. Jest to dzieło wielkiej kultury artystycznej. Autorka daje niezwykle subtelny rysunek postaci kobiety, jako pieśń wielotonową a jednak jednolitą psychikę duszy dzisiejszej. Przemawia tu do nas z jakimś dziwnie pociągającym czarem dusza jej, wypowiadająca się w wielkiej, nieokreślonej tęsknocie za miłością, za uczuciem z za światów, palona ogniem wewnętrznym, nierozumiana i niesłyszana przez innych, zagłuszana turkotem dorożek i szmerem drobno, powoli padającego deszczu. Ironia, która nigdy pisarki tej nieopuszcza, owo podkreślenie ciemnemi cieniami głównego motywu, w tej powieści ustępuje na plan drugi. Całość wypełnia półmityczna Jongleuse, piękno tęskniące za sobą samem, biegnie ona za chwilowym zachwytem, przystaje w biegu, bo przemujeje ją odrętwieniem zwątpienia myśl, że łudzą ją miraże, że on — to tylko on, a nie istota istot, a nie potężny dawca nadziemskiego upojenia. Czuje rozkosz w igraniu z bólem, żongluje nożami, stal syczy koło jej oczu, świszcze wkoło jej piersi, a ona nie drgnie, i usta piją niewypowiedzianą słodycz. Kojąco usypia ją Eros. Romans jej z posągiem to subtelny, czarujący poemat. Prostota i piękno nieruchome kształtów młodego bożka pociąga i porywa. Milczenie jego ust, tajemnica zagadkowego uśmiechu jego twarzy snuje przedziwne obietnice i wabi, nęci duszę kobiecą, spragnioną ciszy i omdlenia. Usta jego dają upojenie. Posąg piękny jest i dusza kobiety jest piękna. Bezkarnie jednak nie igra się ze stalą i płomieniem. Tęsknota zrywa nakładane na nią tamy. Ci, którzy płoną żądzą nadziemskiej rozkoszy, muszą dojść do tego

momentu, kiedy pierś w żonglerce sama nadstawia swą rozżarzoną białość pod ostrze opadających noży.

W tej melodyi pulsu życia Rachilde targa wszelkie więzy, łączące ją z innemi istnieniami; uwzględnia ona je o tyle, o ile odrzucają światło, odpromieniowują główny jej motyw. Motyw ten umiejscawia w jednej (L'animale, Jongleuse) lub w dwu (Dessous, Sanglante Ironie, Hors nature) postaciach. Są to siły od lub dośrodkowe, pociągające i odpychające się nawzajem, łączące się w jeden harmonijny okrzyk dławionego życia.

Piękno utworów Rachilde'y stanowi niezwykła ich żywotność, która nie dopuszcza nudy, odrzuca wszelkie środki i środeczki techniczne i daje artystycznie ciekawy obraz życia. Sztuczność dostrzedz można w jej recenzyach, które stale od lat paru pomieszcza w dwutygodniku „Mercure de France". Z błyskotliwej zmienności swego usposobienia wytworzyła ona sobie cały artystyczny światopogląd, który przeprowadza w migawkowych sprawozdaniach z najnowszych powieści; kapryśna jej natura niezawsze odczuwa piękno danego utworu, nie chłonie w siebie piękna innego, niż jej własne; niedbale przesuwa ona swe znudzone oczy po kartach książki, czasem wyłowi jakąś perłę, czasem przypomni sobie jakieś własne wrażenie, czasem znów zaspokoi ciekawość grymasem skrzywienia ust lub ziewnięcia. Tego rodzaju krytyka zaciekawia jako wytwór błyskotliwego zabawienia się pewnem szkiełkiem, które śmiesznie nieraz przełamuje światło, lecz nie jest ono wyczuwaniem piękna i tworzeniem piękna odczucia, co stanowi istotę krytyki.

Powieści Rachilde'y pozy tej nie znają. Jej wyobraźnia, jak chochlik nadworny, skacze z łodygi na łodygę, tam muchę strąci z kielicha, tam przestraszy kochającą się parę, to znów głośnym śmiechem spłoszy stado lękliwych baranów. I znika z chichotem dyablika, lubującego się w psocie i nieznającego nic piękniejszego nad promienie słońca, szelest liści, woń kwiatów i szepty własnego serca. Błyskotliwość opowieści pociąga niezwykle, nie jest to pusta fanfaronada lub zwykły kabotynizm, lecz istotna, szczera i głęboka poezya.

Szczerość jej ma w sobie pewien miły wdzięk. Dziwny czar roztacza jej miękka lekka natura, swawolna i nieznająca przymusu, choć lubiąca minki i podobanie się.

Forma językowa Rachilde'y zadziwia prostotą środków technicznych. Francuzi w kulcie formy zewnętrznej doszli do perfekcyi zimnego mistrzostwa, wysuwając na plan pierwszy stylowość wysłowienia. Rachilde i pod tym względem idzie za swemi kapryśnemi upodobaniami; czasem daje rozwlekłe opisy, to znów szkicuje lekko, przechodząc w skracaniu najśmielszych impresyonistów. Dla podkreślenia głównego motywu używa ona subtelnej ironii, która chwilami tylko pozwala sobie na głośniejszy syk. Liczne katastrofy, w jakie obfitują jej powieści, są tylko ścisłym wynikiem motywu głównego, nie dziwią, nie zastają nas nieprzygotowanymi, a wyłącznie przejmują grozą.

Twórczość Rachilde'y—to mowa niewymuszona, szczera i subtelnie miła. Razi w niej wielu owo nagromadzenie rzekomych nadzwyczajności. „Dziwactwa" te są tylko wynikiem złożonej natury dzisiejszego człowieka. Wyrywający się ze wszelkich więzów, jakie nakłada nań otoczenie, czujący wstręt do wszelkiego musu, wszelkiego rozkazu zewnętrznego, rwie się on z tego świata faktów i zdarzeń, cofając się we wnętrze duszy swojej, w której znajduje skarby wyczulenia i polotu. Jedni z współczesnych cieszą się swą pustką duchową, przepełnioną wyłącznie gramofonowemi tabliczkami, mówiącemi o cnocie, grzechu i zepsuciu moralnem. Inni (znaczna mniejszość) stają się obcymi dzisiejszemu poziomowi, a za to mści się na nich dzisiejszość, budując teoryjki estetyczne, nic niemające wspólnego z istotą piękna i twórczości. Do istot czujnych na piękno i snujących twórczo swe fantazye tęsknoty za szczerością i promieniami słońca, ukrytego w głębi serca ludzkiego należy—Rachilde.

Zbigniew Brodzki.

NOWE KSIĄŻKI.

Tadeusz Nalepiński: **Gaśnienie**. Kraków, Gebethner i S-ka. 1905 r. Str. 59.

Jedynym przedmiotem poezyi jest śmierć. Tak mniej więcej mówił Poe, a p. Nalepiński, podziela to zdanie. Ale p. Nalepiński nie jest poetą i opiewa śmierć, ustawiając słowa w swych drewnianych, bezdźwięcznych sonetach w jakieś niezwykłe szeregi, z których powinni skorzystać nasi gramatycy dla przykładów, jak pisać nie należy. I doprawdy z tego punktu widzenia „Gaśnieniu" nie sposób odmówić wartości. Oto np. wyjątek z pierwszego sonetu: „Płyniesz ku mnie... duchu *z jasnej zieleni wiosny pierwszego podmuchu*". W następnym wierszu nowy pochód rzeczowników, tym razem 2-im przypadku liczby mnogiej: „I chwieje się łodyga w smutku fal pocisków..." W innem miejscu zapewnia autor kategorycznie: „nie przeto, że być moją mogłaś cała, *nie to mój żal*." I wyobraża sobie nietylko „złotą miedź" i to, że ktoś idzie za nim „smutny, jak posąg skrzydlaty" ale i to, jak „po strunach zmierzchu liry płyną aromaty..." W tak wykwintnej formie spowiada się autor z uczuć, których doznaje, gdy „skargą rozpaczy dusza jego jęknie i tęsknota znów ją ściśnie" (str. 40). Wszystko to, co najciekawsze, wypisuje człowiek, który, bądź co bądź, cytuje w oryginale Baudelaire'a i Leopardiego i dość znośnie tłomaczy z niemieckiego kilka, krótkich wprawdzie, wyjątków z kazań Buddy.

Adam Stodor: **Jawnogrzesznica.** Stanisławów. Nakładem R. Jasielskiego. 1905 r. Str. 51.

P. Stodor jest wstrzemięźliwy w cytatach. Przytacza tylko jedną ze św. Marka. I wogóle ma zupełnie inny, niż p. Nalepiński, pogląd na swe powołanie i na poezyę. Nie używa słów gromkich, jest skromny, przejęty duchem religijnym. Utożsamia się z „Jawnogrzesznicą" i wywodzi gorzkie żale: „O Rabbi, Rabbi nie zobacz mej męki, wyrwij mnie z zwątpień wszetecznej paszczęki", albo: „Cisi, łaknący wciąż sprawiedliwości, *cierpień i bólu przewiązani pasem*, dostąpią..." itd.

Br. W.

Życie publiczne w Rosyi.

Birżew. Wied. podają następującą rozmowę jednego ze swych współpracowników z wiceministrem skarbu Timirazjewem..

„Przechodząc do faktów—mówił wiceminister — widzimy, że rozstrzygnięcie kwestyj przedstawicielstwa narodowego, aczkolwiek posuwa się nieco naprzód. odbywa się jednak zbyt powoli.

„Upłynął już z górą miesiąc od chwili wygłoszenia Najwyższego Reskryptu z dnia 3 marca, i pomimo to, jak wiadomo, wszystko pozostaje wciąż w dawnem, nieokreślonem położeniu.

„Taka powolność w rozstrzyganiu tak doniosłej kwestyj mojem zdaniem zupełnie nie da się wytłomaczyć okolicznościami, ponieważ żadne specyalne trudności na drodze do urzeczywistnienia myśli o przedstawicielstwie narodowem nie mogą się już obecnie zdarzyć.

„Nieokreśloność i niejasność sytuacyi wzmaga się jeszcze skutkiem braku dokładnych i ścisłych informacyj o biegu prac specyalnej narady, pracującej pod przewodnictwem ministra spraw wewnętrznych.

„Całkowity brak wiadomości w tej mierze oddziaływa niewątpliwie jak najbardziej gnębiąco na społeczeństwo, zwłaszcza, że dotychczas nie zostało wyjaśnione, czy będą powołane do udziału w tych pracach i osoby prywatne".

Z powodu powołania nowej narady pod przewodnictwem Goremykina *Syn Otieczestwa* poświęca parę uwag programowi przyszłych jej prac:

„Jak widzimy z programu rządowego bezwarunkowo i zupełnie wyłączona została kwestya reformy agrarnej w tem zwłaszcza szerokiem znaczeniu, w jakiem biorą ją rozmaite grupy społeczne.

„Włościanie mają i nadal poprzestawać wyłącznie na gruntach nadziałowych, jakie otrzymali podczas wielkiej reformy włościańskiej, ale będą im za to udostępnione dogodniejsze sposoby ich obrabiania. Komu będzie ciasno na gruntach nadziałowych, będzie miał ułatwione przesiedlenie się. Żadne rozszerzenie gruntów nie nastąpi, i powiększyć swą własność rolną włościanie mogą i nadal tylko przy pomocy banku włościańskiego.

„Ochrona zaś „własności prywatnej od wszelkich na nią zamachów" wyłącza samą myśl o tem, aby rząd pozwolił na odebranie ziemi większym właścicielom.

„Takie jest twarde i decydujące słowo Najwyższego Reskryptu, które wnosi do położenia rzeczy decyzye jasne i określone i niewątpliwie wywoła, gdzie należy, ogromne wrażenie".

Nowosti piszą z tego samego powodu:

„Zaledwie zdążyła przejść do wieczności komisya Szidłowskiego, a już umiera i osobna narada Sergiusza Wittego. Czyż nie taki sam los spotkał w istocie i zamkniętą przed półtora rokiem komisyę w centrum państwa, która dała włościanom tylko zmniejszenie opłat wykupowych o takie sumy, jakich skarb już i dawniej nie otrzymywał? czy też nie taki sam los przypadł w udziale i komitetowi syberyjskiemu, który nic absolutnie nie zrobił dla prawidłowej kolonizacyi Syberyi i poprawienia warunków handlowych eksploatacyi wielkiej kolei syberyjskiej?

„Czem dalej zasłużył sobie na dobrą pamięć komitet do spraw Dalekiego Wschodu, który nie okazał najmniejszego pożytku nawet podczas krytycznego okresu zatargu rosyjsko-japońskiego? Wprost przeciwnie, nawet najczynniejszy działacz tego komitetu, sekretarz stanu Bezobrazow, przyczynił się niemało zarówno do powstania zatargu, jak i do tego rozstrzygnięcia, którego owoce teraz właśnie spożywamy.

„Pomimo to jednak komitety i narady mnożą się, jak grzyby po deszczu. Sama nawet osobna narada pozostawia potomstwo w postaci tworzonej obecnie „osobnej narady do rozpatrzenia środków, mogących wpłynąć na wzmocnienie własności ziemskiej włościańskiej", której powierzone będą wszystkie prace nieboszczki, dotyczące danej kwestyi. Można chyba nie wątpić, że i ta narada nie pozostawi w dziejach naszych większych śladów, niż wszystkie dawniejsze próby tego rodzaju.

Syn Otieczestwa daje następujący obraz nastroju, panującego obecnie w pewnych kołach społeczeństwa rosyjskiego.

„Kiedy w jakiemkolwiek państwie zachodnio-europejskiem przedsiębrana jest poważna refoma polityczna lub społeczna, przygotowania do niej prowadzone są w atmosferze podniecenia powszechnego, urzeczywistnienie zaś jej odbywa się przy współudziale wszystkich zmobilizowanych sił społecznych. Zebrania partyjne, meetingi ludowe, dyskusya nad pro-

jektem nowego prawa w prasie i w towarzystwach naukowych, pamflety polityczne i odezwy—wszystko to niezbędnie towarzyszyć musi wszelkiej, choć cokolwiek doniosłej i poważnej reformie. Wszyscy uznają za rzecz zupełnie naturalną i zrozumiałą, że ani bill w reformie roku 1832 w Anglii, ani prawo o kongregacyach religijnych we Francyi nie mogłyby być urzeczywistnione bez współudziału opinii publicznej, bez hałaśliwych zebrań publicznych, bez krzykliwej literatury ludowej, bez poważnych prac towarzystw naukowych itd. itd.

„Inaczej jest w Rosyi. U nas cisza w społeczeństwie i spokój uważane są za niezbędny warunek urzeczywistnienia reformy. Mówią nam: żadna działalność reformatorska niemożliwa jest dopóty, dopóki społeczeństwo pozostaje w stanie podniecenia. Należy przedewszystkiem „uspokoić“ społeczeństwo—i dopiero później pomyślimy o reformie. I oto epoka reform zaczyna się od „środków uspakajających“. W tym celu, aby uwolnić społeczeństwo od ciążących na niem kajdan, nakłada się na nie przedewszystkiem nowe kajdany. Wzmożenie ochrony wzmocnionej uważane jest za pierwszy krok, prowadzący do zorganizowania przedstawicielstwa narodowego.

„Maleńka, chytra biurokracya jak gdyby nie widzi wcale tego zaczarowanego koła, w którem krąży jej myśl polityczna. Do tego czasu, dopóki panuje w społeczeństwie spokój i cisza—nikt naturalnie nie myśli nawet o reformie. Społeczeństwo milczy — widocznie zatem jest zadowolone“.

Now. Wremia zamieszcza artykuł S. Glinki, pod tytułem „Prawo i wyłudzanie“, zaczynający się od słów następujących: „Przypatrując się obecnej sytuacyi, niekonsekwentnym, porywnym działaniom rozmaitych instytucyj administracyjnych, mimowoli nasuwa się porównanie z położeniem dużego przedsiębiorstwa przed bankructwem.

„Zarząd wojenny okazał się zupełnie nieprzygotowanym do wojny... Ministeryum marynarki skazało już jedną eskadrę na zagładę. Od czternastu miesięcy flota japońska panuje na morzu... Oświata narodowa zastrajkowała... Zarząd finansów doprowadził budżet do 2 miliardów, wyciskając z ludu ostatnie soki i rozwijając system dużych podarunków dla osób wpływowych. Ludność zaś wiejska doprowadzona do zupełnego zubożenia. W sądach rozwija się znowu protekcyonizm i przewlekanie spraw. Senat nie ma siły protestować, gdyż sam sprowadzony został do poziomu kancelaryi ministra sprawiedliwości. Administracya i policya bezowocnie walczy prawie z całą Rosyą, przeskakując od ucisku do zupełnej nieczynności i w rezultacie nie jest w możności nikogo obronić od najbrutalniejszych gwałtów...“

Mosk. Wied. zaś nawołują władzę do zastosowania środków radykalnych:

„Piotr Wielki, który zawsze marzył o zaprowadzeniu porządków europejskich, nie zawahał się jednak przed ukaraniem śmiercią na placu publicznym buntujących się strzelców.

„Bunt, jak gdyby ręką odjął. Patryarsze, który przyszedł z obrazami świętemi, Cesarz Piotr rzekł między innemi: „Spełniam wolę swoją i wykonywam rzecz miłą Bogu, kiedy bronię ludu i karzę śmiercią zbrodniarzy, ujawniających złe zamiary.“

„I cesarz miał słuszność. Naśladując wielkiego reformatora, rząd powinien wykryć i ukarać śmiercią kierowników tajnych spisków, gdziekolwiekby je wykryto—i wykonać wyrok bez litości wobec całego narodu, a Rosya, tak niedawno jeszcze groźna i potężna, wyleczy się ze swych ran i zada smokowi wschodniemu cios śmiertelny.

„Nadszedł również obecnie czas, aby przypomnieć wielkiego Murawjewa, który w jak najkrótszym czasie zdołał wyrwać z korzeniem zaburzenia polskie, uzbroiwszy się w miecz władcy.“

Jak donosi *Kijewlanin*, dnia 4-go b. m. organom kijowskiej policyi tajnej udało się wpaść na ślad istnienia tajnej drukarni, mieszczącej się w domu Nr. 10 przy ulicy Rybalskiej. W nocy wtargnęła tam policya, której nie wpuszczono wszelako przez drzwi frontowe, musiała więc wejść przez kuchnię.

Na progu spotkał policyantów bardzo blady i wzburzony młody człowiek, który ich prosił, aby zachowali się cicho i spokojnie i weszli do pokoju, gdzie znajdą wszystko, czego poszukują. W istocie, na wielkim stole i dwóch pakach znajdowały się kaszty zecerskie, obok zaś stała niewielka maszyna drukarska.

Młody człowiek, zapytany o nazwisko, odpowiedział, że nazywa się Nerow, kobietę zaś, która się znajdowała podówczas w mieszkaniu, składającem się z dwóch pokojów, przedstawił, jako swoją żonę. Jest to młoda osoba, typu wybitnie semickiego, z zawodu nauczycielka.

W mieszkaniu dokonano szczegółowej rewizyi i znaleziono dwa kosze, na których spoczywały kaszty zecerskie, napełnione świeżemi proklamacyami o charakterze podburzającym, sąsiedni zaś pokój był zapełniony od góry do dołu proklamacyami wszelkiego rodzaju. Sądząc ze wszystkich oznak, stąd właśnie rozchodziły się od dłuższego czasu na cały Kijów proklamacye, wzywające do ruchów antipaństwowych.

KRONIKA

Wiadomości społeczne. W najbliższej przyszłości ma uledz gruntownej zmianie prowadzenie ksiąg metrycznych. Powierzone ma być ono samym parafianom z udziałem duchownych. Do ksiąg nie będzie wolno wnosić takich danych, na które nie zgodzą się osoby zapisywane.

— W Wilnie po raz pierwszy od lat 40 władza pozwoliła na urządzenie przedstawień amatorskich w języku polskim, ale jak dotąd tylko w domach prywatnych. — Gubernator wileński zabronił zwołania posiedzenia towarzystwa rolniczego, które miało ułożyć podanie, wyłuszczające potrzeby kraju, a mianowicie równouprawnienia wszystkich narodowości i wyznań w myśl telegramu wysłanego 18 marca do ministra spraw wewnętrznych przez wileńskie Towarzystwo rolnicze.

— W tygodniu poświątecznym, według informacyi *Rus. Wied.*, odbyć się ma w Petersburgu prywatny zjazd wszystkich wybitnych przedstawicieli programu postępowego wśród ziemian, celem omówienia położenia, wywołanego przez reskrypt Najwyższy z d. 8 marca.

— Dyrekcya konserwatoryum muzycznego w Petersburgu zwolniła z obowiązków prof. Rimskiego-Korsakowa za protest ogłoszony przez niego w *Rus. Wied.* z powodu uwolnienia kilkudziesięciu uczniów. Profesor jest zasypywany przez inteligencyę rosyjską oświadczeniami, listami i owacyami; kilku jego kolegów, profesorów zrzekło się już swych stanowisk w konserwatoryum, a zagraniczni muzycy, jak Joachim i Saint-Saens, godności członków honorowych towarzystwa muzycznego, które obejmuje konserwatoryum. Dyrekcya tej instytucyi biedzi się obecnie nad sposobami wybrnięcia z przykrego położenia i wprowadzenia napowrót Rimskiego-Korsakowa.

— Jeden z wybitnych przedstawicieli postępu w Rosyi L. Pantielejew zwrócił się w liście otwartym do do Korolenki (*Prawo*), wzywając go do zawiązania wydawnictwa tanich pism i broszur, mających na celu kształcenie polityczne ludu wiejskiego. Od siebie na początek L. Pantielejew ofiarował 1,000 rubli na wydawnictwo.

— Ministeryum spraw wewn. — jak donosi *Warsz. Dn.* — zezwoliło na otwarcie przy kasie oszczędności i pomocy nauczycieli i nauczycielek chrześcian m. Warszawy „Przytułku dla osób pracujących na polu pedagogicznem.“ Przytułek będzie bezpłatny i korzystać zeń będą wyłącznie członkowie kasy.

— Włościanie, którzy osobiście przedstawili gen.-gubernatorowi warszawskiemu podanie o zniesienie kar, nałożonych na nich za żądanie języka polskiego w gminach, uzyskali tylko pozwolenie odsiadywania kozy po dokonanych zasiewach.

— Generał-gubernator warszawski polecił oberpolicmajstrowi uwolnić niezwłocznie z pod dozoru byłych greko-unitów, pozostających z rozporządzenia władz miejscowych pod dozorem policyi w granicach m. Warszawy, jak również znieść ograniczenia w zakresie wyboru miejsca zamieszkania.

Sąd wojenny. Dnia 12 marca warszawski wojenny sąd okręgowy sądził sprawę Władysława Dąbrowskiego, Jana Szewczyka i Tomasza Zielińskiego, oskarżonych, że 29 stycznia r. b. podczas zaburzeń ulicznych, zamierzali siłą odebrać broń starszemu rewirowemu. Wszyscy trzej skazani zostali na karę śmierci, lecz podali skargę kasacyjną.

— Dnia 5 marca sąd wojenny warszawski wydał wyrok śmierci na Stanisława Lipkę i Jana Zaprzałkę za napady na stójkowych w celu odebrania im broni podczas zaburzeń r. bież. Wyrok na Zaprzałka został zmieniony na 12 lat ciężkich robót. Pilaszek wniósł skargę kasacyjną.

— Sprawę o zabójstwo W. Ks. Sergiusza wyznaczono na dzień 19 kwietnia. Bronił oskarżonego adw. Plewako. W skład przedstawicieli stanów powołanych do sądzenia sprawy wszedł prezydent m. Moskwy ks. Golicyn. Zabójca nazywa się Jan Kalejew, jest Rosyaninem, urodzonym w Warszawie w r. 1877, gdzie ojciec jego pełnił obowiązki w jednej z firm handlowych. Matką Kalejewa jest Polka, Piotrowska, dzięki czemu mówi on biegle po polsku. Ukończywszy gimnazyum, uczęszczał do uniwersytetu w Moskwie na wydział historyczno-filologiczny w latach 1897 i 1898. Zamieścił kilka prac w *Kur. Moskiewskim*. W r. 1898 wyjechał do Warszawy, skąd nadsyłał do Moskwy korespondencye. Następnie udał się do Lwowa, skąd również pisywał do *Kur. Moskiewskiego*. Do sprawy jego wezwano matkę w charakterze świadka. Na salę sądową wpuszczono tylko kilku generałów i matkę zabójcy, siostrze jego pozwolono widzieć się z nim poprzednio w więzieniu. Wyrok zapadł: kara śmierci przez powieszenie. Oskarżenie opierało się na trzech punktach: 1) za należenie do związku tajnego, zagrażającego obecnemu ustrojowi państwowemu; 2) za zabicie W. Ks. Sergiusza; 3) za rzucenie bomby bez względu na obecność woźnicy, którego mogła pozbawić życia.

Wiadomości urzędowe. W pierwszych dniach przyszłego miesiąca mają się rozpocząć narady komisyi, powołanej do opracowania projektu samorządu ziemskiego w Królestwie Polskiem. Do komisyi tej generał-gubernator powołał pp. Maurycego hr. Zamojskiego, Adama hr. Krasińskiego, Eustachego Dobieckiego, Stanisława Dzierzbickiego, Stanisława Łubieńskiego, Józefa Ostrowskiego, Józefa i Macieja ks. Radziwiłła (syna).

— W Petersburgu krążą pogłoski o amnestyi, która ma być ogłoszona przed świętami *Wielkanocy*. Domysły opierają się na tem, że ministeryum spraw wewnętrznych zbiera wiadomości dotyczące osób, na które nałożono kary sądowe lub administracyjne za przekonania religijne lub polityczne do 18 lutego (st. st.) r. bieżącego.

Szkoły i wychowanie. W politechnice warszawskiej zawieszono wykłady na zasadach przyjętych w uniwersytetach Cesarstwa, tj. pozostawiono studentów na tych samych semestrach (bez wydalania kogokolwiek) do przyszłego roku szkolnego.

— Uniwersytet warszawski został zamknięty na mocy rozporządzenia ministra oświaty. Wydalono 1,600 studentów razem ze słuchaczami kursów farmaceutycznych. Ci z nich, którzy uzyskali odroczenie terminu powinności wojskowej, mają być do niej powołani. Wydawanie stypendyów wstrzymano.

— Inspekcya szkół miasta Warszawy zwróciła się do cechów z zapytaniem, czy majstrowie zgodzą się na posyłanie terminatorów do szkoły w dni powszednie. W razie przychylnej odpowiedzi trzeba będzie uzyskać zezwolenie władzy właściwej na urządzenie nauki. Cech rzeźników jeszcze w r. z. zaprowadził dla swych terminatorów kursy w dni powszednie.

— Ministeryum oświaty odrzuciło podanie wszystkich uczniów szkół handlowych o przyjęcie ich do uniwersytetu po złożeniu egzaminów z języków starożytnych.

— Zarząd kolei petersburskiej wydał polecenie naczelnikowi dystansu drogowego w Warszawie, aby w r. b. nie przyjmował studentów wyższych uczelni.

specyalnych na praktykę wakacyjną. Zamiast studentów sprowadzeni być mają starsi robotnicy t. zw. dziesiętnicy.

— Ponieważ zmiejszyły się dochody szkół miejskich 3 i 4-klasowych wskutek powstrzymania się większości uczniów od uczęszczania do szkół, przeto inspekcya stara się o uzyskanie zasiłku od magistratu na ich utrzymanie w kwocie 138,606 rb. 83 kop.

— Uczniowie I klasy wszystkich zakładów, uwolnieni w tym roku, dopuszczeni będą do egzaminów konkursowych do tej samej klasy na równi z nowowstępującymi. Ponowne przyjęcie uczniów innych klas może być tylko za zezwoleniem kuratora na wniosek rad pedagogicznich z rozważeniem winy i okoliczności w każdym poszczególnym wypadku.

— W Petersburgu poruszono bardzo ważną kwestyę przejrzenia podręczników szkolnych, celem usunięcia przestarzałych lub nieodpowiadających wymaganiom nauki i zastąpienia ich nowymi.

— W styczniu 1906 r. akademia rolnicza w Dublanach będzie obchodzić 50-letni jubileusz swego istnienia.

— Petersburski korespondent *Warsz. Dn.* donosi że ministeryum oświaty zakazało ogólnych zgromadzeń rodziców wychowanków szkół średnich w stolicach a pozwoliło na odbywanie osobnych zgromadzeń rodziców, których dzieci uczęszczają tylko do jednej klasy.

Hygiena i zdrowie. W seminaryach nauczycielskich mają być być wprowadzone obowiązkowe wykłady hygieny i zdrowotności.

— Wyznaczona przez radę miejską dobroczynności publicznej specyalna komisya w sprawie powiększenia miejsc w szpitalach warszawskich na przypadek cholery orzekła, że obecna liczba miejsc nie wystarcza nawet dla chorych normalnych, należy ją więc bezwarunkowo powiększyć o 40 i w tym celu niezwłocznie przystąpić do budowy nowych pawilonów murowanych na wolnych gruntach szpitalnych.

Sprawy ekonomiczne. Wobec wieści, krążących wśród włościan, że bank ziemski wstrzymał wydawanie pożyczek na zakup ziemi, *Warsz. Dn.* zapewnia że pogłoski są bezzasadne, gdyż bank przyjmuje podania od włościan o pożyczki i załatwia je zwykłym trybem. Tylko wysokość pożyczek uległa zmianie z 90 na 75% wartości ziemi.

— Ministeryum skarbu projektuje utworzenie specyalnych biur, w których koncentrowałyby się wszelkie wiadomości, dotyczące spraw robotników. Biura te będą musiały posiadać dane co do ilości fabryk zakładów przemysłowych, górniczych i innych technicznych przedsiębiorstw, znajdujących się w ruchu, tj. pracujących, i dane co do ilości obsługi w fabrykach, o okręgach potrzebujących robotników, o praktykowanej zapłacie itd. Obowiązkiem ich będzie wyszukiwanie pomocy dla biednych, niemających pojęcia, gdzie potrzebni są robotnicy i gdzie niema kompletów. Biura te mają być założone w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Odesie, Rostowie nad Donem Tule i in.

— Ogólny dochód totalizatora za oba sezony wynosił w 1904 r. 291,687 rb., z tego głównemu zarządowi stadnin państwowych wypłacono 29,017 rb., utrzymanie zaś totalizatora kosztowało 36,731 rb. Wskutek znacznego zmniejszenia się obrotów totalizatora zarząd wyścigów konnych musiał dołożyć do nagród 55,157 rb. Pobrano na rzecz zakładów dobroczynnych w sezonie wiosennym — 13,587 rb.

— Na prowincyi ukazali się agenci zagraniczni, przedstawiciele fabryk cudzoziemskich, których wyroby sprzedają najdrobniejszym nawet kupcom po cenach hurtowych. Objaw to zupełnie nowy w stosunkach handlowych.

— Obroty handlowe w sklepach rządowych z wódką zmniejszyły się znacznie w ostatnich czasach.

Poczta i telegraf. Według przepisów dla korespondencyj telegraficznych, podający telegram płaci za posłańca tyle, ile zechce, z warunkiem, aby na końcu telegramu pomieścił swój adres. Jeżeli przy doręczeniu telegramu okaże się potrzeba dopłaty, uiszczają adresat. W depeszach z zapłaconą odpowiedzią trzeba napisać u góry blankietu, za ile słów zapłacono. Poprzednio pisało się tylko „Odpowiedź zapłacona", za co zarząd telegrafu pobierał 60 kop.

Koleje i komunikacye. Tutejsze zarządy kolei otrzymały zawiadomienie, że minister komunikacyj zezwolił na bezpłatny przejazd kolejami żon i rodzin robotników warsztatów kolejowych, udających się w razie potrzeby na kuracyę do szpitali kolejowych.

— Jeszcze w roku 1902 zarząd kolei nadwiślańskich opracował projekt budowy gmachów dla służby przejazdowej. Koszt robót obliczono na 540,000 rb, wykonano zaś dotąd tylko za 66,000 rb. Obecnie, z powodu żądania pracowników podwyżki na komorne, zarząd kolei uznaje budowę za konieczną, mieszkaniowe bowiem kosztowałoby skarb daleko drożej, niż postawienie własnych domów.

— Zarząd kolei petersburskiej postanowił nie przyjmować w roku bież. studentów na praktykę.

Od Administracyi.

Pani Rychlickiej z Kijowa. Za zmianę adresu należy nam się kop. 20.

Panu Iwaszkiewiczowi z Strazgrodu i p. Nowodworskiemu z Gudohaj. Numery wysłane, za zmianę adresu należy się kop. 20.

Panów Makowieckiego z ulicy Chłodnej nr. 10 i Kotlickiego z Żelaznej Bramy nr. 3 prosimy o uiszczenie prenumeraty należącej się za kwartał ubiegły.

OFIARY

Dla najbiedniejszych: Jaworski ze Satonowa rb. 5.

Dla głodnych: Bezimiennie z Weissensteina rb. 5. Mieszkańcy sioła Berska A. Rubcow rb. 5, Michał Selunin 2 rb., Mikołaj Baraboszkin 2 rb., Jan Chuweliński 1 rb. M. Zembrzuska zebrane w Snowsku 3 rb.

Dla biednych według uznania redakcyi A. M. Szklennicki z Moskwy 15 rb.

Sprostowanie. W Nr. 14 *Prawdy* na stronnicy 162, szpalta 3, wiersz 42 od góry zamiast „mądrem słowem" powinno być „mocnem słowem".

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 7 Апрѣля 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.